

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Rozbicie społeczeństwa. — *Ludwik Kulczycki*: Przesilenie ministerjalne. — *Marjan Zdziechowski*: Dante. (dokończenie). — *Prof. Fryderyk Zoll*: W sprawie podniesienia przemysłu w Polsce. — *I. W. Kosmowska*: Z Wielkopolski. — *Prof. St. Wędkiewicz*: Polski przekład „Myśli“ Pascala. — Z piśmiennictwa. — Czasopisma. — *Maciej Szukiewicz*: Na marginesie „Diviny“ (odcinek).

Rozbicie społeczeństwa.

Chroniczny stan i rzesień ministerjalnych, z którego dotychczas wyjścia nie znaleźliśmy, a który wobec sytuacji międzynarodowej i finansowej Polski staje się niesłychanie groźnym, jest zewnętrznym objawem więcej głębokiego przesilenia społecznego, jakie przeżywa młode Państwo Polskie. Przesilenie to jest spowodowane zaciętością i zaślepieniem warstw społecznych, które walcząc o swe interesy klasowe, zapominają o interesie ogólnym państwowym.

Stoimy wobec nietylko wielkiego napięcia walki warstw społecznych o swe interesy grupowe, ale i wielkiego zróżniczkowania tych interesów grupowych. Zróżniczkowanie to utrudnia utworzenie wśród ścierających się grup większości, która mogłaby wyłonić rząd silny, posiadający program określony i poparcie większości narodu.

Minęły czasy, kiedy lewica mogła u nas tworzyć chociażby chwilowo jeden obóz polityczny, pod hasłem Polski ludowej jednoczący stronnictwa włościańskie, robotnicze i część inteligencji miejskiej, minęły też czasy, kiedy prawica mogła utworzyć pod hasłami narodowo-zachowawczymi, obóz zwarty, jednoczący i ziemiaństwo, i burżuazję przemysłową, i zwody liberalne, i drobnomieszczanstwo miejskie. Dziś ponad antagonizmami pracy i kapitału, wielkiej i małej własności, to jest tymi antagonizmami, które naogół są podstawą podziału politycznego społeczeństwa na lewicę, prawicę i centrum, góruje jeszcze nadzwyczaj ostry antagonizm wsi i miasta.

Chłop jest przeciwnikiem ziemianina, kiedy chodzi o reformę rolną i mógłby w walce o tę refor-

mę, jako o podstawę „Polski ludowej“, iść razem z robotnikiem, ale chłop ma wspólny interes z ziemiańnikiem i jest wrogiem robotnika, kiedy chodzi o to, aby wieś mogła jaknajdrożej sprzedawać miastu swe produkty i jaknajmniej płacić podatków.

Wobec tego antagonizmu wsi i miasta, klasy włościańskiej i robotniczej, hasła „rządu robotniczego i włościańskiego“, które figurują jeszcze w programie P. P. S. i na pierwszej stronie „Robotnika“, straciło treść realną, co zostało stwierdzone w teorii na łamach „Trybuny“ przez ideologów P. P. S., a w praktyce przez opozycję P. P. S. w stosunku do rządu włościańskiego Witosza. Wrogię stanowisko wobec tego rządu zajął i odłam narodowy polskiej klasy robotniczej N. P. R.

Mając przeciwko sobie wszystkie warstwy miejskie, a na wsi ziemiaństwo, włościaństwo polskie w chwili obecnej staje jakby w opozycji do reszty narodu, zajmuje stanowisko izolowane wśród innych warstw społecznych. Ale ponieważ włościaństwo jest najliczniejszą warstwą społeczną w Polsce i stanowi nawet absolutną większość w narodzie, więc przewodców włościaństwa—ludowców—taka sytuacja nie przeraża.

— Damy sobie radę z wami, bo nas jest więcej — powiadają.

W tym duchu przemawia „Piast“, naczelny organ Polskiego Stronnictwa Ludowego.

W ostatnim numerze „Piast“ rzuca hasło: „Chłopi mobilizujcie się!“ Mobilizujcie, ponieważ wszystkie inne warstwy, inteligencja, urzędnicy, miasta ogłosiły wam wojnę. „Piast“ utrzymuje przytem, że nie jest to walka o ulżenie doli urzędników, inteligentów czy robotników, lecz „jest to atak na rządy

ludowe, to jest ruszenie w bój dla przywrócenia stosunków przedwojennych, dla zepchnięcia chłopca ze stanowiska, jakie w państwie zdobył, dla poceptania jego praw“...

„Przeciw temu skombinowanemu atakowi—woła „Piaś”—musimy wystąpić wszyscy z taką siłą, z jaką nienawiścią idą przeciw nam mieszczanie, urzędnicy i inteligencja. Tej nienawiści, w dziejach dotąd niewidzianej, lud polski przeciwstawić musi potęgę, na jaką go stać. Jeżeli inne warstwy społeczne wypowiedziały chłopcu wojnę, to stać nas jeszcze na to, abyśmy tę wojnę podjęli i zwyciężyli.

Jest nas tyle, że możemy sobie dać radę bardzo łatwo. Stanowimy prawie trzy czwarte ludności całego państwa. Należy nam się udział w rządzie, odpowiadający naszej liczbie i znaczeniu“.

Chłop — zdaniem „Piasta” — może podjąć zwycięską wojnę ze wszystkimi innymi warstwami nie tylko dla tego, że on stanowi $\frac{3}{4}$ ludności, ale i dla tego, że jego praca jest fundamentem państwa:

„Jedna wieś tylko pracuje, z wyjątkiem może służby folwarcznej, którą nie kto inny, ale panowie z miasta zrewoltowali. Dudniało w prasie przed rokiem, że tylko praca przyniesie rozkwit państwu. Jeżeli prawdą jest to zdanie, to wieś zadanie swoje spełniła. Myśmy nie pilnowali przepisu o ośmiogodzinnym dniu, myśmy charowali od świtu do nocy, ale rezultat jest ten, że Polska ma zboża tyle, iż nie tylko się potrafi wyżywić, ale może jeszcze znaczną część sprzedać zagranicę. Nikt nie ma jednak prawa wymagać, żebyśmy naszą pracą żywili miejskie lenistwo i żebyśmy dla pięknych oczu pp. inteligentów, względnie tak zwanych inteligentów miejskich, dawali im za bezcen środki żywności, kiedy oni nam za każde głupstwo każą płacić potworne pieniądze“.

Brzmi to jakby zapowiedź dyktatury chłopskiej.

Więc cóż? Być może chłop w rzeczy samej wyprorowadzi Polskę z tego rozbitcia społecznego?

Co z tego, że społeczeństwo niema jedności; i rozbite jest na zwalczające się nawzajem grupy społeczne, jeżeli wszystkie te grupy razem wzięte, z wyjątkiem włościaństwa, stanowią tylko $\frac{1}{4}$ społeczeństwa, a włościaństwo stanowiące $\frac{3}{4}$ ludności i świadome swej siły, może narzucić swoją wolę reszcie ludności, stworzyć jedność państwową, a pracą swą państwo utrzymać?

Być może w imię tej jedności, w imię ratunku państwa wszyscy powinniśmy uleść pokornie woli chłopca, poddać się jego dyktaturze widząc w nim tę Polskę ludową, która słowami wieszczki mówi o sobie:

„Nie jeno liczba my, — ale i siła.
Nie jeno plug my, co łafy orze
Ale i pieron, co Bóg go posyła
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary — dźwignące pół świata?“

Niestety tak nie jest.

Chłop nasz *jest liczbą*, ale *siłą nie jest*, nie jest siłą twórczą, świadomą, zdolną dźwignąć nie pół świata już, ale choćby, pół państwa, którego trzy czwarte stanowi.

Plugiem łany orze i wycina bory (nie tylko spróchniałe, ale i zdrowe), lecz dla siebie, o budowę państwową niedba wcale.

Prawdą jest, że wieś pracuje i że dzięki tej pracy dobrobyt kraju wzrasta, ale również jest prawdą i to, że państwo nasze jest nędzarzem ostatnim wśród państw europejskich dzięki temu, że polska wieś wzbogacona od swego bogactwa nic Państwu Polskiemu nie daje.

Praca chłopska, którą się chlubi „Piaś”, zapewne jest wielką rzeczą, jest pierwszym warunkiem ekonomicznego podźwignięcia się kraju z ruiny powojennej, ale jej nie dość dla utrwalenia niepodległego bytu państwowego, boć przecie życie ekonomiczne może trwać i pod obcą okupacją i pod rządami Zaborców. I jeżeli świadomość państwowa warstwy społecznej, stanowiącej $\frac{3}{4}$ ludności i zamierzającej swoją wolę innym warstwom narzucić, zostanie na tym pozłomie, na którym dziś się znajduje, to nie zważając na postępy gospodarki chłopskiej, Polskę ludową spotka ten sam los, jaki zgotowała sobie Rzeczpospolita szlachecka. Przedstawiciel najliczniejszej warstwy obywateli dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej—chłop, tak samo jak dawny szlachcic przeciętny, pozbawiony jest zmysłu państwowego, sprawy lokalne stawia po nad sprawy ogólnopaństwowe, a po nad wszystko interes swojej zagrody, z pogardą patrzy na miasta, których roli w życiu państwowym nie rozumie, nie chce płacić podatków i troszcząc się o dzień jutrzejszy w gospodarstwie nie dba o jutro państwa.

Nad tem powinien był by zastanowić się „Piaś”, gdy mówi o wojnie, którą jakoby miasto narzucają chłopom, a w której chłopci zwyciężą. Tak, być może, że zwyciężą, ale czy przy tem zwycięstwie nie okaże się „zwyciężonym” i Państwo Polskie?

Przecie w chwili dla Państwa Polskiego najgroźniejszej, w chwili najazdu bolszewickiego miasta zdobyły się na wysłtek patriotyczny, na który nie zdobyło się włościaństwo. I gdyby nie ten odruch patriotyczny wśród mieszczuchów, przeciw którym teraz „Piaś” chce chłopów „mobilizować”, to chłopci zaskoczeni przez najazd okazali by się pod jarzmem Sowietów i nie byłiby już panami na swej roli. Zapewne że prędko powstali by przeciw temu jarzmu, ale przecie chłopci rosyjscy i ukraińscy, liczniejsi od chłopów polskich, od trzech lat powstają przeciwko zorganizowanej i zcentralizowanej Władzy Sowietów, a zrzucić tej władzy nie mogą.

Wolność więc swoją, niezależną organizację państwową i nawet własność swoją chłop polski w zna-

cznej mierze miastom zawdzięcza, tej samej inteligencji, na którą „Piast” tak napada. I jeżeli tego nie uświadamia sobie chłop przeciętny, to powinni mu to wyłomaczyć inteligentni ludowcy. Powinni oni wyjaśnić, że stosunku wzajemnego między wsią a miastem nie można oceniać wyłącznie ze stanowiska wymiany produktów wsi i miasta, że miasta wytwarzają walory idealne, bez których i wieś istnieć nie może, że liczba nie wszystko stanowi w życiu narodu. Jeżeli włościanstwo stanowi $\frac{3}{4}$ ludności Polski, to bynajmniej nie znaczy, aby ono zawierało w sobie $\frac{3}{4}$ życia narodowego polskiego, a wszystkie inne warstwy $\frac{1}{4}$, którą można jakoby wyeliminować, nie niszcząc samego życia.

Inteligencja ludowa powinna zatem prowadzić włościanstwo nie do wojny z miastami, a do zrozumienia wspólnego interesu państwowego, wyższego od tych interesów często materialnych, które wytwarzają antagonizm wsi i miasta.

Tylko w uświadomieniu tego wyższego celu wspólnego, w imię którego winny być opanowane i złagodzone wszystkie antagonizmy klasowe i stanowe, wyjście z rozbicia społecznego, które prowadzi do rozbicia państwa. Czas już zrozumieć, że dzień dzisiejszy jest dniem, który stanowi być może o całej naszej przyszłości, który da odpowiedź na pytanie: czy po to niezależność odzyskaliśmy, by pracą własną na wieki ją utwalić, czy też po to tylko, by znów ją z własnej winy utraciwszy inne ludy ostrzegać przed błędami, których winien unikać naród z obcej przemocy uwolniony.



Przesilenie ministerjalne.

I.

Już od kilku miesięcy było rzeczą widoczną, dla wszystkich uważnych obserwatorów naszego życia politycznego, że gabinet p. Witosa nie może utrzymać się długo. Stan finansowy państwa był zły i nie zanosilo się na żadną poprawę w tym względzie, gdyż rząd nie chciał się zdobyć na słuszne opodatkowanie własności ziemskiej, oszczędzając widocznie własność włościańską. Stosunki wewnętrzne państwa pozostawiały też dużo do życzenia. Rząd nie zdobył się na żadną politykę konsekwentną w stosunku do żywiołów antypaństwowych, pracujących usilnie nad podkopaniem bytu państwa. Chwilami ujawniał pewną energję, naogół jednak zachowywał się dość biernie. To też żywioły antypaństwowe prowadziły prawie bez przeszkód swą akcję destrukcyjną. Rząd nie umiał znaleźć linii odgraniczającej przestępstwo wobec państwa od swobodnego działania politycznego, dozwolonego przez konstytucję. A przecież linię tę bardzo łatwo znaleźć. Konstytucja nasza, jak każda zresztą inna, obowiązująca w wolnym państwie — dozwala oczywiście: swobodnie krytykować rząd, instytucje państwowe; propagować różne ideały — społeczno-polityczne. Gdyby więc bolszewicy nasi ograniczali się do krytyki istniejących instytucji, propagowania ustroju politycznego, opartego na radach robotniczych, przeciwstawiając je parlamentaryzmowi, to, pomimo absurdyczności i nawet szkodliwości ich poglądów — nie możnaby było ich karać za to, stojąc na gruncie ściśle konstytucyjnym. Jednakże nasi bolszewicy na tem nie poprzestawali, lecz wzywali w swych pismach i odezwach do dezorganizacji państwa, do dezercji z wojska, nieposłuszeństwa w armji, do buntu. Więcej jeszcze, przedsięwzięli usiłowania, mające na celu: utrudnianie przewozu amunicji, niszczenie jej (podpalanie składów amunicji)

Maciej Szukiewicz.

Na marginesie „Diviny”.

Paradiso, III 47—61, 104—117.

*Choć w przepędzonym przez alembik czyścica
Duch rdzy, a ciało ciężaru pozbyło
I mogłem w sferze bezzębnego tyśca,*

*Co jest największym wśród gwiazd szalawitą
(Bo twarz odziewa w odmienne wciąż maski)
Oraz to żwawiej zdążyć za nią miłą, —*

*Jednak tej jeszcze nie dostąpił łaski,
Ażeby czasem nie pozostać w tyle
Za płynącemi z cudnych ocz jej blaski*

*Albo nie grzęznąć w błędzie i omyle,
Jak w onym lesie, gdzieś spotkał wilczyce. —
Z księżycą sfery jedną pomnę chwile...*

*Jeszcze w Piccardy wpatrzon włośnicę,
Którą — że gwałtem skażono jej słuby —
Niebo zmieniło w tęczę i różycę.*

*I przepoilo światłem jej przeguby,
Pajrzę: a oto z dali ku mnie płynie
Postać piękniejsza nad inne cheruby,*

*Ty, co te słowa czytasz, osądz ninie,
Czy z purgatorjów wyszedłem zwycięsko,
Ze tak znalazłszy się sam przy dziewczynie,*

*Kraśniejszej stokroć, niż granatu mięsko,
Sej alabastrów i ustek ponęcie,
Twardo się oprzeć zdołałem i mięsko?*

*Czytającego te tu słowa klnę cię,
Czy w hortus clausus nie wkroczyłbyś śmiało,
Wiedząc, że zdjęto z jego wrót pieczęcie*

*I że to pyszne swym rozkwitem ciało
Przywinąć ci się do twej piersi uda
Jak się to komuś innemu udało?*

*Jeżeli szczerzy jesteś i nie duda,
Pewniebyś porwał ją w krzepkie ramiona
I z warg jej wyssał wszystkie raję cuda*

*I wszystką rozkosz wezbranego łona —
Lecz ja, com wysechł w infernie na wiórek
I był jak larwa mięszu pozbawiona,*

zdradę w armji i t. p. Jakkolwiek usiłowania te nie zdołały na szczęście przybrać wielkich rozmiarów, to jednak niestety wydały pewne rezultaty. Otóż z chwilą ujawnienia się podobnych usiłowań, podczas wojny zwłaszcza, rząd powinien był odpowiedzieć na nie ostre represjami. Tego tymczasem naogół nie zrobił.

Rząd nie umiał też walczyć z nadużyciami w administracji i wojsku. Karano małych przestępców, dużych nie umiano, czy nie chciano karać. Dlatego też akcja rządu w tym kierunku małe tylko wydała rezultaty. Chciano unikać skandalów i sprawy niektóre tuszowano. Tolerowano też uchylanie się Ministerstwa Spraw Wojskowych od ścisłej kontroli. Ten brak kontroli odbijał się też fatalnie na naszych finansach, ponieważ to właśnie ministerstwo rozporządzało największym budżetem. Wreszcie rząd, aż do czasów ostatnich, lekcewał sobie zupełnie sprawę strzeżenia naszych granic, co wywołało już skutki fatalne.

Polityka gabinetu p. Witosa była polityką stanową i dążyła do tego, aby włościan uwolnić, o ile możliwości, od wszelkich ciężarów; aby ich nie krępować w handlu produktami spożywczymi i spekulacji. Tej też polityce należy przypisać ten nieogłębny pośpiech w zaprowadzeniu wolnego handlu zbożem.

Wolny handel był potrzebny i należało go wprowadzić, ale pod tym warunkiem, że granice państwa będą należycie strzeżone i że środki spożywcze z kraju wywożone masowo nie będą. Najlepsze pomysły przeprowadzone w czasie nieodpowiednim, bez przedsięwzięcia pewnych środków ostrożności — muszą wydać szkodliwe owoce.

Rząd wreszcie zwlekał z opracowaniem nowej ordynacji wyborczej, co było wynikiem tendencji ludowców do odwleczenia wyborów do wiosny roku przyszłego.

Wszystkie powyższe błędy rządu są bardzo ciężkimi błędami, za które państwo nasze drogo bardzo płaci już i płacić jeszcze będzie.

Nie mniejsze błędy popełniał rząd w polityce zagranicznej. Nie umiał bronić interesów polskich za granicą, co ujawniło się w sprawie śląskiej. Dał się uwikłać niebacznie w politykę federacyjną w stosunku do Litwy, która nam dała same porażki. Wogóle żadnej polityki zagranicznej, obliczonej na dłuższą metę, rząd nie miał. Lekcewał też sobie zdanie Sejmu i jego komisji spraw zagranicznych.

Powody więc do ustąpienia gabinetu były bardzo liczne. P. Witos zwała winę na społeczeństwo, poczęści robi to i pewien odłam naszej prasy.

Oczywiście, w państwach demokratycznych rząd jest wyrazem społeczeństwa. Winą więc społeczeństwa jest to, że ma taki rząd. Ale takie odsuwanie winy, na podstawie takich twierdzeń ogólnych, ani nie usuwa odpowiedzialności rządu, ani też nie może nam dać na dziś żadnego punktu oparcia w dążeniu naszym do wyjścia z sytuacji obecnej.

II.

Stoimy więc wobec kryzysu, który, niestety, zapowiada się dość ciężko, utworzenie bowiem szybko nowego gabinetu natrafia na trudności bardzo poważne.

W społeczeństwach wyrobionych politycznie wyjście z kryzysu nie byłoby tak trudne. Skoro rząd p. Witosa skompromitował się, skoro w swoim czasie odrzucił współpracę innych stronnictw — to z natury rzeczy zdawałoby się, że władza przejść powinna do tych, którzy go już dawno krytykowali i przewidywali konieczność jego upadku.

To też Marszałek zaproponował utworzenie gabinetu p. Głabińskiego. Związek ludowo-narodowy, widząc, że sam rządzić nie może, gotówby był przyjąć misję sformowania rządu z innymi stronnictwami, pod dwoma jednak warunkami: i 1) że znajdzie większość w sejmie i 2) że w nowym gabinecie mieć będzie odpowiednią ilość swych członków. Otóż tu właśnie nasuwają się trudności. Nie dlatego, aby żądania te były same w sobie nieu-

*Złożyłem tylko ręce me w paciórki
I tyłkom oczy podniosł pałające
Na najpiękniejszą tę z tokańskich córek.*

*Natenczas ona żrenić swoich słońce
I pączki ustek, świeższych niż przedwiośnie,
Zwracając ku mnie, rzekła: — Na tej łące,*

*Na której wokół sama lilja rośnie
I same wkrag się bielą szpikanardy,
Wiedzące z wdziękiem ale i bezkłośnie,*

*Piękne ci rzeczy prawil cień Piccardy.
Pięknie gdakało trusiątko Rogiera
I inne niemniej urocze pulardy,*

*Lecz wiedz, że w kręgu tym jest wyższa sfera,
Tak górująca nad ich wirydarzem,
Jak przed obtudą ma dank prawda szczera.*

*My tam nie płaczem, że z klauzury jarzem
Lubego dłoń nas wyrwała kochanka,
Ani gorzkimi łzami się nie mażem,*

*Że w nas dziewictwo prysnęło, jak pianka,
I że prócz lilij życie nam na czole
Róż purpurowych przydało do wianka.*

*Żem Wyższej Woli niziuchną mą wolę
Kornie poddała i spoległam na Niej,
Widzisz zdobiącą biodra me cintole,*

*Którejbyś próżno szukał na twej Pani.
Jak ją zdobyłam? — zaraz ci opowiem,
Bo chętnie czynią spowiedź zakochani:*

*Drgnęłam z pierwospu gęsiej skórki mrowiem,
Kiedym o jutrzni w mej zakonnej celi
Ujrzała księżę zgiętą nad wezgłowiem*

*„Lukrecjo — rzekła — dość już tej pościeli,
„Wstań i włóż habit. Fra Filippo wczora
„Biadał przedemną, że chociaż anieli*

*„Tłumnie doń schodzą z niebieskiego dwora
„Ilekróć pendzel we fiołce umoczy,
„Lecz się z Madonny twarzą nie upora*

*„I w martwe linje wizji Jej nie wtłoczy,
„Jeśli łaskawe nie dadzą mu losy
„Raz jeden spojrzeć w równie modre oczy.*

*„Ty i bez blichu masz złociste włosy,
„Wargi powabne i słodsze od wiśni,
„W oczach błękity i czar w nóżce bosej.*

zasadnione, lecz dlatego, że nasze zwyczaje parlamentarne są mocno nieparlamentarne.

Istotnie, jak to już raz miałem sposobność zaznaczyć w „Tygodniu Polskim“, nasze partie polityczne, lewicowe zwłaszcza, zawsze mają ochotę być u władzy, jeżeli już nie formalnie, to faktycznie. Tak jest i obecnie. Nasza lewica (nie mówiąc o pewnym pravicowym odłamie P. P. S.) nie chce mieć swych członków w rządzie, ale nie chce dopuścić do rządu swoich przeciwników. Ludowcy podali się do dymisji, ale nie chcą również dopuścić swych przeciwników do władzy, ani też choćby czasowo z nimi współdziałać, na podstawie pewnej platformy politycznej.

Podobne zachowanie się nazwałbym antyparlamentarnym. Istotnie: cechą bowiem rządów parlamentarnych jest zupełnie normalne, spokojne przechodzenie władzy od jednych stronnictw do drugich. Można zwalczać pewne stronnictwa, nienawidzić je nawet, ale zarazem uznać lojalnie, w pewnych warunkach, konieczność przyjscia ich do rządu. Otóż u nas stronnictwa uznać tego nie chcą.

Rozumiem dobrze, że związek ludowo-narodowy, czy też stronnictwo ludowo-chrześcijańskie mają licznych wrogów, że można tym ugrupowaniom politycznym robić takie albo inne zarzuty. Rozumiem, że lewica ze swojego punktu widzenia musi w całym szeregu spraw stronnictwa te zwalczać. Jednakże z tego wszystkiego nie wypływa, aby zgóry już stronnictwom tym uniemożliwiać utworzenie rządu, w chwili kiedy Państwo znajduje się w stanie krytycznym i wymaga ratunku szybkiego, w chwili, kiedy rząd ludowców skompromitował się, a rząd lewicowy jest niemożliwy z wielu względów zarówno natury ogólnej, jak i osobistej. To też propozycja p. Stapińskiego oddania misji stwarzania nowego gabinetu p. Dąbskiemu, ludowcowi i viceministrowi spraw zagranicznych, zakrawa na żart.

Stronnictwa lewicowe nie powinny przeszkadzać wspomnianym wyżej ugrupowaniom utworzenia rządu, pozostawiając sobie oczywiście wolną rękę w kryty-

kowaniu go na gruncie realnym jego przyszłych czynności.

Nasi parlamentarzyści lewicowi w praktyce nie chcą uznać zasady większości wówczas, gdy zwraca się ona przeciwko nim. Wówczas odwołują się albo do ulicy, albo do rozmaitych machinacji zakulisowych, mających na celu oddanie im władzy, albo osobom przez nich podstawionym.

Państwu naszemu zagraża wprost bankructwo ze wszystkimi dla suwerenności jego szkodliwymi następstwami; musimy się zdobyć na szybki ratunek. Sprawa ratunku Państwa występuje na plan pierwszy, usuwając na plan dalszy wszelkie inne sprawy. Z tego tylko punktu widzenia patrzeć należy na kryzys obecny.

Chcąc znaleźć należytą drogę do wyjścia z kryzysu obecnego, należy sobie uprzytomnić, jakie jest zadanie obecnego rządu, przed zebraniem się nowego Sejmu, który przecież musi wyłonić rząd nowy.

Otóż zadaniem rządu, w chwili obecnej, jest: 1) przeprowadzenie w Sejmie nowej ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, umożliwiającej szybkie rozwiązanie obecnego Sejmu; 2) przystąpienie do ratowania naszych finansów.

Pod temi dwoma hasłami musi się tworzyć rząd obecny. Takie postawienie sprawy ma tę dobrą stronę, że: 1) liczy się z najpilniejszymi sprawami Państwa, 2) usuwa cały szereg spraw najbardziej spornych do przyszłego Sejmu, co jest konieczne i uzasadnione.

Jeżeli zaś zgodzimy się na to, to wówczas stronnictwa mogłyby łatwiej, niż w warunkach innych, zgodzić się obecnie na utworzenie nowego rządu.

Prawda, jest w takim postawieniu sprawy jedna trudność: oto rząd uchwalił postanowienia, dążące do zaostrzenia reformy agrarnej i stronnictwo ludowe, pragnąc jej zrealizowania, chce takiego rządu, któryby je przeprowadził.

Trudność ta jest tylko pozorną, gdyż stronnictwo ludowe po dwuletnich doświadczeniach powinno wreszcie zrozumieć, że niedość jest uchwalić jakaś

„Więc choć malarze bardzo są kapryśni,
„Siądź mu pozować, może patrząc na cie,
„Postać Madonny z twej postaci wyśni.

„Gdyby zaś chciał cię mieć w luźniejszej szacie,
„Nie broń mu tego, — bowiem człek to boży
„I jak my wszystkie żyje w celibacie“.

Posłuszna Ksieni powstałam coskorzej
Ufna, że może w obraz naдам mu się
Dla mej twarzycki niewinnej i hożej.

Lecz pouczona od sióstr, że pokusie
Zaraz z początku trza przycierać rogu,
Nie wdziałam giezła pod zakonne włosie

I szat udrekę ofiarując Bogu
I tą udreką jak ogniem spowita
Zbiegłam do studio i stanęłam w progu.

Próżna ciekawość niech przez cię nie pyta,
Na czym nasz seans utknął już w południe...
Serce mi chciało frunąć z pod habita,

Gdy Fra Filippo począł szeptać cudnie
O tej połodze, co raz zażegnęta
Na moich ustach, już w nim nie wychłódnie

Po wieki wieków, — że nad święceń pęta
Stokroć więzistsze na niego okowy
Włożyły te ot! — przypatrz się — rączeta,

Że mu w palecie wszystek blask tęczowy
Zgaśnie, jeżeli ja zgasnę za kratą
I że mię zza niej wprost wykraść gotowy.

U kolan go swych widząc, rzekłam na to:
Głos masz cheruba, więc zawsze i wszędzie
Pójdę za tobą. — Na odpusćcie w Prato

Jedynym dla nas dostępnym obrzędzie,
Bo tylko w tym dniu wychodzim z klauzury,
Kiedy procesja przez balkon iść będzie,

A tłum cintołę przez kadzidel chmury
Ujrzy w liljowych rękach Anunciaty, —
Jako gołąbkę orzeł wichropióry,

Zabierz mię całą i nieś w twoje światy,
Kędy się wszystko tęczą barw stonieczni,
Gdzie dusze papią i pachną jak kwiaty,

Gdzie za motyla pyłkiem się im nie czni,
Bo już zamknęły go w tajniach kielicha
I gdzie będziemy sami i bezpieczni...

reformę, ale że trzeba znaleźć środki na przeprowadzenie jej, oraz wogóle mieć odpowiednie warunki.

Jeżeli finanse nasze, w ciągu pół roku, nie poprawią się, to wówczas Państwo zbankrutuje i dostanie się pod opiekę swych wierzycieli, państw innych, które zapewne, aż do sanacji naszych finansów, żadnej reformy agrarnej przeprowadzić nam nie pozwolą.

Trzeba to zrozumieć nareszcie, że jesteśmy odłuzeni i Państwo nasze, na pewien czas może stracić swą suwerenność. Na szczęście, nasi włościanie żyją w dobrobycie, nasi robotnicy rolni, w ciągu ostatnich lat dwu, poprawili bardzo znacznie swoje położenie materialne. Niema żadnej racji, dla której należałoby natychmiast urzeczywistnić reformę agrarną, źle pomyślaną, dla realizacji której niema w tej chwili środków dostatecznych. Zarówno włościanie, jak i robotnicy rolni znajdują się obecnie w lepszych warunkach od wielu kategorii robotników przemysłowych i inteligencji pracującej.

Reformę agrarną a raczej jej dopełnienie i urzeczywistnienie można odroczyć do Sejmu przyszłego, bez żadnej szkody dla Państwa, włościan i robotników rolnych.

Rząd nowy zająć się powinien dwoma wskazanymi wyżej zadaniami. Z kogo powinien on się składać? Z żywiołów pravicowo-centrowych.

Stronnictwo ludowe okazało się niezdolnym do rządzenia samo, ale jest dość liczne i powinno znaleźć w nowym rządzie miejsce dla siebie odpowiednie. Nie czas na polityczne dąsy.

Stronnictwa lewicowe nie powinny z góry przeszkadzać utworzeniu się takiego rządu, rezerwując sobie stosunek do niego, po jego czynach.

Stronnictwo ludowe powinno zrozumieć, że w razie jego dalszych dąsów i usuwania się od wzięcia udziału w rządzie nowym — całą odpowiedzialność zarówno przed narodem, jak i przed ludem wiejskim — spadnie na nie.

Oczywiście do rządu nowego wejść powinni też i przedstawiciele klubów mniejszych centrowo-prawicowych.

Teke ministerstwa skarbu należałoby powierzyć wytrawnemu fachowcowi p. Modzelewskiemu. Teke ministerstwa spraw wewnętrznych dobremu znawcy administracji Państwowej.

O rządzie t. z. fachowym naprawdę mowy być nie może, wobec braku u nas licznych fachowców, oraz wobec niechęci stronnictw do takiego rządu. Tem mniej mówić można o jakiejś dyktaturze jawnej, czy zamaskowanej. Dyktatura taka pogorszyłaby tylko sytuację.

Nie mamy dla niego odpowiednich kandydatów cieszących się powszechnym zaufaniem i dość kompetentnych, aby nie narazić Państwa na katastrofę.

Są w stronnictwie ludowym jednostki patrzące dalej, ożywione gorętszemi uczuciami obywatelskimi, rozumiejące dobrze interesy państwowe. Do nich należy zaapelować, aby wywarły one nacisk na swych kolegów posłów w tym kierunku, aby nie utrudniali oni utworzenia się rządu nowego.

Igramy z ogniem. Zachłanna, nielicząca się z warunkami polityka większości ludowców wtrącić może państwo nasze w przepaść.

Ludwik Kulczycki.

Dante.

(Dokończenie).

Dzieło Dantego jest, według określenia jego, *polysensyuum*; jest epopeją katolicką i — w ntmniejszym stopniu — apologją cezaryzmu.

Dante w sferze dumań swoich i aspiracji był nie tylko filozofem i teologiem, ale i politykiem z wyraźnym programem i silnymi namiętnościami. Kosmopolitą był i uniwersalistą, jak to jeszcze wykazał Wegele, wyznawcą idei opatrnościowego po-

*Za tydzień w Prato, nikt patrząc na mnicha,
Jak z drugim frate, zapłonionym nieco,
Skróś rozmodlonych tłumów się przepycha,*

*Nie odgadł, czemu oczy im tak świecą,
Nie wyczuł, że tam w imię wspólnej doli
Anioł z aniołem w raj miłości leca, —*

*Ze ta nad młodszym gwiazda w aureoli
Światło swe czerpie z rzuconych mu skrycie
Przez Anunciatę przepasek cintoli.*

*Czy widzisz na mnie jej złociste nicie?
Z rąk Pana Niebios wzięłam je nagrodą,
Zem, w służbie dla Niej strawiła me życie.*

*Pod pendzlem mnicha byłam jedną odą
Na macierzyństwa cześć i cześć Madonny!
W chramach Florencji wszystkie ród swój wiodą*

*Ze mnie i z cichej tej celi zakonnej,
Gdziem Fra Filippa natchnęła paletę
A on z dziewczyny młdej i wąskołonnej*

*Stworzył uroczą matkę i kobietę,
Ze mnie, z Lukrecji Buti czar ten płynię
Co daje wzniosłą malarstwu podnięte*

*I wciąż trwa jeszcze i nieprędko minie,
Bo chociaż dzisiaj i ja i mnich cieniem
Oboje żyjem w naszym Filipinie,*

*Postać ma dotąd jest jego natchnieniem. —
Lecz dość spowiedzi. Oto się już taka
Wstydliwych Piccard odezwała pieniem*

*I twoja Bice samotnie się błąka
I tobie śpieszno zacząć z nią bell'cante
I mnie już tęskno do mego małżonka.
Odchodzę zatem, — bywaj zdrow, Durantel *)*

*) Któż nie zna dziejów włoskiego Odrodzenia i florenckiego *quattrocenta*? Któż nie słyszał o romansie, a następnie ulegalizowanym małżeństwie mnicha Fra Filippa Lipiego z Lukrecją Buti, nowicjuszka klasztoru S-ta Margherita w Prato? To też do poemaciku p. Szukiewiczza dodajemy jedynie tyle, że kościół w Prato, przechowujący w swym skarbcu „cintolę”, to jest przepaskę N. M. Panny, ukazuje (z narożnego balkonu dłuta Donatella), tę relikwię wiernym co roku w dniu 25 marca. Według lokalnej tradycji, dotąd jeszcze żywej w Prato, najczystsza z dzievic kłęczących śród tłumy na *Piazza del duomo*, otrzymuje (mystycznie) tę przepaskę w chwili, gdy ujrzy „cintolę” przez chmurę kadzideł.

Przypisek Redakcji.

ślannictwa Rzymu, którą wyłożył w traktacie *De Monarchia*; w narodzie rzymskim wyraźnie widział on wybrane przez Boga narzędzie do spełnienia odwiecznego planu; narodowi temu Bóg stale i to sposobem cudownym (*miraculorum suffragio*) wspomagał; świadczył o tem cały przebieg i charakter jego dziejów. Bóg przeto chciał panowania jego—i wszystko, co wybrany ten naród (*populus ille sanctus, pius et gloriosus*) czynił, dobrze czynił (*de jure fuit et est*), albowiem jednocząc pod sobą narody świata, przygotowywał grunt pod siejbę słowa Chrystusowego. Poeta wzdychał za pokojem powszechnym (*pax universalis*), gdyż ze wszystkiego, czego człowiek tu na ziemi pożądać może, pokój jest rzeczą najniezbędniejszą do osiągnięcia doczesnej i wiecznej szczęśliwości (*optimum eorum, quae ad nostram beatitudinem ordinantur*). I marzył on o zjednoczonej chrześcijańskiej ludzkości pod władzą papieża w rzeczach ducha, cesarza—w sprawach doczesnych.

Ale jakiego cesarza? Dante przyjmował fikcję, że cesarstwo Karola Wielkiego było dalszym, niby nieprzerwanym ciągiem panowań Augusta i Konstantyna, więc berło monarchji uniwersalnej dawał cesarzowi niemieckiemu i—brzmi to paradoksalnie dziś, wśród rozrukania nacjonalistycznych namiętności i nienawiści—uznanie prymatu cesarza-Niemca łączył on ze swoim—rzymskim mesjanizmem. Bo kto miał ideę wszechświatowego Rzymskiego Imperium wyobrazić i realizować—Rzymianin, Niemiec czy Francuz—do tego Dante nie przywiązywał wagi; wystarczało mu to, że Karola Wielkiego ukoronował niegdyś papież koroną cesarską i że cesarze niemieccy byli jego prawowitymi następcami—i w tem przeświadczeniu odważnie wystąpił, jako uparty, nieugięty, wymowny, a potęgą wymowy i przekonania porywający rzecznik *des Heiligen Römischen Reiches Deutscher Nation*.

W traktacie o Monarchji „dał on Gibellinom — mówi Klaczko — ich *Deklarację Praw*, wymyślił im ich teorię prawowitości, ich powód bytu filozoficznie uzasadnił”¹⁾. Sformułował jaśniej, ściślej, niż ktokolwiek bądź przed nim, wiarę polityczną, „którą wieki średnie przeczuwały, miarkowały, w części nawet wprowadzały w życie”.

Ale daremny to był trud! Wiara ta w chwili, w której Dante ją formułował i głosił, już nie miała dawnej władzy nad umysłami; już zeszli byli z widowni dumni Hohenstaufowie, zawałiła się ich budowa. Poeta stał na zwaliskach, był spóźnionym, nie znajdującym posłuchu apostołem.

Wygnany za przekonania swoje z ojczyznej Florencji, wylewał swoje bóle w grzmiących gniewem tercynach *Piekle*, aż oto niespodzianie nad tęsknotą poety rozwidnia się jutrzienka, zwiastująca, że słowo jego ma stać się ciałem, że „sen wygnańca zamieni się w historyczny fakt”. Na tronie cesarskim zasiadł Henryk VII. Młody, z bujną fantazją, szlachetny i odważny, postanawia wskrzesić dzieło poprzedników swoich Saskich, Frankońskich, Hohenstaufów, podnosi ich upadły sztandar i obwieszcza swój *Römerzug*. Spuszcza się z Alp, w październiku 1310 roku, zbiera niedobitki stronnictwa Gibellinów, z różnych stron ciągną do niego wygnańcy i tułacze, ale Dante nie ubiega się o żadne urzędy, czy godności, dość, „że danem mu było—jak pisze w liście—ogłądać

majestat cesarza, słyszeć jego słowa i powiedzieć sobie: *Ecce Agnus Dei, ecce qui abstulit peccata mundi*”.

Wśród pożóg i krwi idą Niemcy naprzód, miasta włoskie padają jedne po drugich, ale nie wzrusza to poety. Florencja skupia koło siebie przeciwników cesarza—i Dante, nie wahając się, wzywa Henryka VII w głośnym liście, aby zadał cios w samo serce oporu, w rodzinne miasto poety. Trzeba przyłożyć siekiere do korzenia jadowitej rośliny. Florencja, to „zmija, co kąsa wnętrzości własnych rodziców, to zwierz nieczysty, co wyziewem swoim zaraża trzode”. „Powstań więc i połóż raz koniec ociąganiom twoim, o różdżko ze szczepu Jessego, połóż ufność w Panu twoim, w Bogu Sabdothy, pracą mądrości twojej i kamieniem potęgi powal na ziemię Goljata; bo kiedy on legnie, noc, i ciemność, i strach padną na Filistynów, a Izrael wyzwolony będzie”.

Czyż można się dziwić—woła Klaczko po przytoczeniu słów powyższych—„że poecie, któremu, według pięknego wyrażenia Michała Anioła, bramy niebios stały zawsze otworem, bramy rodzinnego miasta Florencja zamknęła na zawsze aż do śmierci”²⁾.

W tym zaś kulcie dla idei monarchji uniwersalnej jednym z pierwiastków zasadniczych była nienawiść do Francji, jako głównej zawady na drodze do urzeczywistnienia Św. Rzymskiego Imperjum pod berłem cesarzy niemieckich. Więć nie dziwimy się również, gdy głośny dziś prorok mistycznego pangermanizmu, Houston Stewart Chamberlain, zalicza Dantego do typowych przedstawicieli plemienia germańskiego, jako syna germanizowanej przez Gotów, Franków, Longobardów Italji północnej. Jest to tak oczywiste — woła — że dowodzić tego nie warto; świadczą o tem zarówno myśli i prace wieszczka, jak i rysy jego twarzy³⁾.

Dziś naturalnie razi nie-Niemca ten, w dzisiejszem oświeceniu na to patrząc, filogermanizm wielkiego umysłu, stanowiący jednak nie istotę i nie podstawę, lecz tylko konsekwencję jego poglądu. Dante bowiem tego całą duszą pragnął, o co od wieków w litanji do wszystkich świętych błaga Kościół—„pokoju i zgody królów i panów chrześcijańskich”, Cesarstwo zaś Rzymsko-Niemieckie było w idei swojej instytucją ponadnarodową, łącznikiem między narodami germańskiego, słowiańskiego i romańskiego pochodzenia i, dzięki temu—mówi F. W. Förster—mogło stwarzać warunki dla wspólnej kulturalnej pracy najrozmaitszych ras⁴⁾. Więć myśl Dantego przy całej utopijności swojej jaśniała szlachetnym blaskiem idealizmu—i nikt mu nigdy czystości intencji nie odmówił.

Z głębokim bólem stwierdzał Dante w Kościele ścisłą łączność między powodzeniami materialnymi a rozkładem moralnym, który zwykł za nimi iść. Należało więc powstrzymać w jej rozpędzie ziemską, zaborczą politykę papieża, należało im przypomnieć słowa Zbawiciela, że „Królestwo moje nie jest z tego świata” i że przeto zadaniem ich, zadaniem Kościoła—wypełniać wzór Chrystusowego życia i świecić ludziom świętości światłem. Jako władcy świecy, papież, podług Dantego, byli tylko lennikami

¹⁾ Op. c. por. str. 248—251.

²⁾ Grundlagen des XIX Jahrh., por. str. 500—502.

³⁾ Fr. W. Förster „Politische Ethik u. Politische Pädagogik“ (1918), por. str. 259—260.

⁴⁾ „Wieczory Florenckie”, por. str. 244—5.

cesarza; władza cesarska starsza jest od ich władzy (*sed Ecclesia non existente aut non virtuante, Imperium habuit totam suam virtutem*); potęga materialna przeciwną jest samej naturze Kościoła (*virtus authorizandi regnum nostrae mortalitatis est contra naturam Ecclesiae*). Słowem, Dante — zdaniem katolika, znakomitego badacza, Niemca, prafata Fr. X. Krausa — „uznał zasadę oraz ostateczny cel tego, co my dziś katolicyzmem politycznym nazywamy, za rzecz wewnątrznie nie dająca się pogodzić z istotą Chrześcijaństwa i z ideą Kościoła — i tę myśl swoją wyraził jaśniej, niż ktokolwiek bądź przed nim, czy po nim, aż do czasów naszych, aż do XIX-go wieku“⁵⁾).

Swoje zaś pomysły reformatorskie w sprawach Kościoła Dante łączył z franciszkańską ideą ubóstwa. Ów instykt, którym kierował się Franciszek z Assyżu, stał się u Dantego świadomością, ideą przewodnią, niezachwianem przeświadczeniem. — W XXVII-ej pieśni Raju wkłada on w usta ap. Piotrowi słowa pełne oburzenia świętego przeciw następcom jego, co „w skórach pasterzy, jak wilki, wyszli z kniei“. Żem myśląc o tem, „pąsem spłonał — nie dziw się, bo gniew, co we mnie dygoce — barwę sromoty na każdym wypisze...“ Więc — kończył apostoł:

Ty synu, gdy cię ku padolnej stronie
Ciało znów ściągnie, nie chowaj języka
I nie osłaniaj, czego ja nie słonię.

Chcąc przeto wyzwolić papieństwo od władzy materialnej, bo ciężarem jest i pokusą, odciągającą kierowników Kościoła od ich rzeczywistego powołania, władzę tę dawał Dante cesarzowi, za głosem idąc marzenia raczej, niż rozumu — marzenia o szczęśliwej jakiejś harmonji między obu naczelnymi władzami w uniwersalnym państwie, w którym uniwersalny monarcha, cesarz, z uczuciem czci pobożnej korzy się przed powagą uniwersalnego wikariusza Chrystusowego na ziemi. Święte Imperjum Rzymskie nie było w myśli poety żadnym despotyzmem militarum — wręcz przeciwnie — miało być ostoją wolności zgrupowanych pod berłem cesarskiem narodów, rękomią ładu, podstawą cywilizacji. „Dla idei tej — pisze Fr. X. Kraus — Dante żył i cierpiał; w służeniu jej znosił zapoznanie i nienawiść, wygnanie i głód; ale wszystkie te cierpienia ani go zatrąły goryczą, ani nawet zachwiały w nadziei i wierze“⁶⁾).

Ale gdzie ci cesarze, którzyby ideał poety spełnić mogli i chcieli? Czy widział ich Dante? czy słyszał o nich? Była chwila, zdało mu się, że ces. Henryk VII sen jego spełni; ale nieopatrzny młodzieniec-marzyciel, poparcia nie znalazłszy we Włoszech, cofnąć się musiał z pod Rzymu i w drodze powrotnej przedwcześnie zmarł w roku 1313, Dante pozostał sam jeden przeciw prądowi czasu. „Nigdy — słowa Klaczki — nie było człowieka wielkiego w większej, zupełniejszej niezgodzie z dążeniem całego współczesnego świata“. W tem tkwi jego tragedia — zdaniem tegoż pisarza, który go malowniczo porównał ze Slepym Samsonem, bo jak Samson wbrew przeznaczeniu usiłuje on podeprzeć i utrzymać zachwiany gmach i konwulsyjnym, rozpaczliwym wysileniem obejmuje filar Cesarstwa, najbardziej podkopany, najbardziej trzęsący się ze

wszystkich, jakie budowę wieków średnich trzymały“.

W swoim liście dedykacyjnym do Can grande della scala powiedział Dante, że celem „Boskiej Komedji“ w jej całości i w jej szczegółach jest „żyjących tem życiem wyrwać z tego nędznego stanu a prowadzić ich do innego, szczęśliwszego“.

Ale dla urzeczywistnienia celu tego powinien zapanować na świecie porządek, któryby odbiciem był, chociażby dalekiem odbiciem, owego *status felicitatis*. Niezbędną podstawą porządku takiego jest zgoda i jedność narodów pod supremacją cesarza, w indywidualnem zaś życiu jedności — poddanie się prawu Bożemu, którego stróżem jest Kościół.

Zgodność z wolą Bożą otwiera po śmierci podwoje nieba. Ale Dante miał jeszcze za życia wizję błogosławionych krain niebieskich. Przewodniczką w tem była mu Beatrice. Odtąd te dwa imiona — Dante i Beatrix — nierozłącznie związały się ze sobą. Miłość swoją poeta odczuł i uwielbił, jako Moc, która pośrednicząc między Prawdą wiekiustą a rozumem i wolą, podnosi duszę i trzyma ją na wysokości, na której poi się tchnieniem Nieba i czuje swoją z niem jedność. Ale oczywiście nie każda miłość jest taką, tylko ta, którą wyznawał i wielbił Dante, która w istocie swojej najgłębszą jest i najwewnętrzniejszą w człowieku tęsknotą za szczęśliwością absolutną.

Miłość u Dantego jest uczuciem nawskroś metafizycznym, najściślej skojarzonym ze zmysłem nieskończoności. Ona wprowadza w absolutne Piękno, owo nieskalane, czyste Piękno, o którym nauczał Plato w *Symposion*, „wolne od obcych pierwiastków i niesplamione lichotą śmiertelną, nadświatowe, wieczne, jedynie nieśmiertelne Piękno samo w sobie“.

Dzieckiem jeszcze poznał Dante 9-letnią Beatrice Portinari i od pierwszego wejrzenia poczuł, że zstąpił w niego mocniejszy od niego Bóg, który nad nim panować będzie: *ecce Deus fortior me, qui veniens dominabitur mihi*. Młodzieńcem był, gdy Beatrice zmarła. Słowami Jeremjasza proroka o mieście Jeruzalem, które, spustoszone i samotne, „stało się, jako wdowa“ i płacze, a niemasz, ktoby je cieszył wśród wszystkich miłośników jego, malował on swój ból, ale błogosławiony był to ból, bo mu przynosił nowe rozumienie rzeczy

Intelligenza nuova, che l'Amore
Pingendo mette in lui...

I postanowił, że „jeżeli Ten, przez którego jest wszystko, co żyje“, pozwoli mu jeszcze żyć, to „powie on o niej kiedyś, co o żadnej innej nigdy powiedzianem nie było“ (*Vita nuova*). Słowa dotrzymał. Od niego „zaczyna się nowa era w miłości“⁷⁾).

* * *

Trojaki jest znaczenie *Boskiej Komedji*: jest wspaniałym wyrazem poetycznym filozofji katolickiej; jest apologją polityki chrześcijańskiej, którą Dante z filozofji tej wyprowadza i w idei monarchji uniwersalnej streszcza, rozgraniczającej i tem samem godzącej władzę świecką i władzę duchowną, cesarstwo i papieństwo; jest wreszcie hymnem na cześć miłości, „w której dusza jest wszystkim, a ciało — pospolitem tylko akcesorjum“⁸⁾).

⁵⁾ Fr. X. Kraus: „Dante“ (Berlin, 1897), pór. str. 723.

⁶⁾ Op. c. por. str. 770.

⁷⁾ E. Schuré: Op. c., str. 45.

⁸⁾ ib.

W niewoli jeszcze jestem znikomego świata,
Lecz danem już mi było w zachwycie oglądać
Pod skorupą materji przezczystą purpurę
I promienne czuć Bóstwa wejście na sobie.

Nad śmiercią triumfując przezczucia potęgą,
Marzeniem więzy krusząc czasu i przestrzeni,
Towarzyszko wieczysta, tobie pieśń mą niosę,
A ty nie wzgardzisz mych nieśmiałychem rymów mowę.

Słowa te są Włodz. Sołowjewa, wzięte z wizji jego Egipskiej, wystosowane do mistycznej oblubienicy, mistyczniejszej, niż zaziemska Beatrice Dantego, bo uosabiającej przedwieczną Mądrość, boską Sofję, niewieści pierwiastek w Bogu. I czy mam to wyznać? Choć innego narodu i wiary, a przedewszystkiem nawskroś innej kultury, ten największy z myślicieli rosyjskich i wielki poeta-lyrik zawsze staje przedemną, gdy myślę o Dantem.

Nie domyślając się tego, nie interesując się szczególnie ani osobą, ani poezją Dantego, Sołowjew był jakby reinkarnacją jego po upływie prawie sześciu stuleci od zejścia jego ze świata, Wyrazu *reinkarnacja* używam, bo uderza mię nietylko podobieństwo, ale niemal zupełna identyczność w charakterze i treści ich pracy twórczej. Taż sama afirmacja powszechnego katolickiego Kościoła, to samo marzenie o polityce chrześcijańskiej, stwarzającej uniwersalne państwo z cesarzem i papieżem na czele, ta sama apoteoza miłości, jako „dobrej nowiny z utraconego raju, zwiastującej możliwość jego odzyskania“.

Czas i śmierć tu królują na ziemi,
Lecz panami ty ich nie nazywaj;
Wszystko pędzi i znika we mgłę,
Niezmiennie jest słońce miłości.

Różnica między twórcą Boskiej Komedji a proroczym w czasach naszych głosicielem idei chrześcijańskiego uniwersalizmu i Bożo-człowieczeństwa tkwi tylko we wzajemnem ustosunkowaniu pierwiastków poezji i filozofji: Sołowjew był filozofem z zawodu, Dante przedewszystkiem—poetą.

I czyż to, że człowiek z obliczem duchowem tak żywo przypominającym Dantego pojawić się mógł na schyłku wieku XIX, nie świadczy, że wielki Florentczyk nie patrzył tylko „wstecz poza siebie“ — jak twierdzi Klaczko? Myśl powszechnego Kościoła i powszechnej monarchji, czyli powszechnej harmonji narodów, którą zwiastował z wyżyny nadświatowych wędrowek i widzeń, żyje dotąd, choć życiem ukrytem, w sumieniu ludzkości.

I choć Sołowjew, wznawiając ją, nie ulegał złudzeniom Dantego, choć, marząc o cesarzu rosyjskim, jako cesarzu uniwersalnym, wyraźnie widział i głosił, że carat w tej postaci, w jakiej istniał, nie tylko nie był drogą do idei jego, ale odstępstwem od niej i jej śmiercią, jednak, siłą wyższą party, obowiązany się czuł ją głosić, jako idealną antytezę wzmagającego się duchowego rozstroju Europy.

I sądzimy, że dziś po strasznych doświadczeniach wojny, wśród szafu międzynarodowych niewiści i zdziwienia myśli politycznej tęsknota, która wieje ze starych kart *Boskiej Komedji*, tęsknota za pokojem, za jednością narodów, za powszechnym Kościołem ludzkości powinna odżyć z nową siłą i mocą. W jakiej formie idea z niej płynąca się spełni i czy się spełni, nie wiemy. Ale już dziś, teraz, w otchłaniach bezradnej nędzy materialnej i moralnej, w którą nas zagnał bicz wojny i bicz

rewolucji, wyjaśnić się powinno w duszy każdego człowieka z rozumem i sumieniem, że przeciw coraz wyraźniej występującym objawom zwyrodnienia, grożącego upadkiem i blizką już śmiercią cywilizacji, niema antytoxyny—jak się wyraził Fr. W. Förster—silniejszej nad ideę chrześcijańską⁹⁾. Ale jak strasznie biczowaną jeszcze będzie ludzkość, ile czasu upłynie, zanim opatrnościowa różga nie wypędzi jej z bagna materialnych interesów i nie nauczy rozumieć, że „człowiek-zwierzę nie da sobie rady z ciężaczami nad nim zagadnieniami i zadaniami polityki, że nie zdoła ich ująć i rozwikłać inaczej, jak z pomocą *Boga-człowieka*“¹⁰⁾.

Marjan Zdziechowski.

W sprawie podniesienia przemysłu w Polsce.

Wśród recept różnych na podnoszenie przemysłu nowożytnie państwo zna jedną, niezawodną: Ustawę patentową—niezawodną, pod warunkiem, że się ją dobrze stosuje. Recepta ta dość stara, bo jej treść istotna była w użyciu w Anglii już za czasów królowej Elżbiety i króla Jakóba I a we Francji za czasów Ludwika XIV. Udoskonalona i uzupełniona w czasie rewolucji francuskiej, a potem w wieku XIX, należy dzisiaj do tych, bez których żadne państwo nowożytne obejść się nie może.

I Polska zaraz po odrodzeniu swem zaprowadziła u siebie w lutym 1919 r. ustawę patentową i pokrewną jej ustawę o wzorach rysunkowych i modelach, a dla wykonywania ich utworzono osobny Urząd patentowy. Jest więc ustawa i jest Urząd, ale ustawy dotąd nie wprowadzono w życie, pomimo, że obowiązuje formalnie dwa i pół lat, a Urząd dotąd jest organem martwym, który dużo kosztuje, a wcale nie funkcjonuje, niczego państwu ani społeczeństwu nie przynosi.

Rząd postanowił złemu zaradzić i w czasie najbliższym ma wnieść do Sejmu projekt ustaw zmienionych i przystąpić potem do należytej organizacji Urzędu. Dlatego piszę o patentach i ochronie twórczości przemysłowej, jako o sprawie aktualnej, a jeszcze i dlatego, że niema może drugiej gałęzi administracji państwowej w Polsce tak mało znanej i tak mało cenionej, jak ochrona twórczości w przemyśle, chociaż to sprawa doniosłości pierwszorzędnej.

Myśl przewodnia każdej ustawy patentowej i pokrewniej jej ustawy o wzorach i modelach jest podobna jak prawa autorskiego: Jak autor, literat, artysta ma prawo wyłączne wyzyskania siły ekonomicznej, tkwiącej w jego utworze, on więc rozstrzyga, czy dzieło może być publikowane, na scenach wystawiane, on w zasadzie ma pobierać korzyści gospodarcze, jakie tego rodzaju publikacje przynoszą i t. d.—tak twórca nowych myśli w przemyśle, a zwłaszcza wynalazca, ma wyłączne prawo wyzy-

⁹⁾ Fr. W. Förster: „Weltgewissen u. Weltpolitik“, por. str. 49—50.

¹⁰⁾ Z. Förstera. Por. artykuł M. Zdziechowskiego o nim w „Czasopiśmie prawniczym i ekonomicznym“—Kraków, 1920, str. 5—8.

skania tych korzyści, jakie jego myśli nowe przynoszą, stosowane w przemyśle, a w handlu wyzyskane. Autor i wynalazca mają zatem monopole; jednak monopol autora, t. zw. własność autorska, trwa dłużej, bo przez całe jego życie i przez 30 lub 50 lat po jego śmierci — monopol wynalazcy, zwany patentem, trwa tylko lat 15, a jeśli nowość objawia się jedynie w postaci zewnętrznej wytworu, t. j. w t. zw. wzorze lub modelu — jeszcze krócej (lat 10 lub 12). Monopol wynalazcy trwa dlatego znacznie krócej, bo patent na dobry wynalazek przynosi korzyści tak olbrzymie, nieraz niesłychane, że dłuższy monopol byłby wprost niebezpieczny z punktu widzenia gospodarstwa społecznego.

W ustawach patentowych objawia się zatem nie tylko czynnik sprawiedliwości, polegający na uznaniu praw twórcy do tych korzyści, które płyną z płodów jego umysłowej twórczości — ale i ważny czynnik polityki gospodarstwa społecznego: Państwo bowiem przez udzielanie monopolów wynalazcom zachęca ludzi zdolnych do wyężdżania swych sił w kierunku twórczości przemysłowej i udoskonalania produkcji; a gdy po wynagrodzeniu odpowiedniemi wynalazców kasuje ich patenty na rzecz dobra ogółu, rozwija i bogaci życie gospodarcze, na wolności przemysłowej oparte.

* * *

Zaprowadzenie ustaw patentowych, podobnie jak ustaw autorskich, jest — patrząc na rzecz z punktu widzenia *socjologicznego* — jednym krokiem naprzód w rozszerzaniu zakresu praw prywatnych jednostce przyznanych. Z dóbr, które stanowiły niegdyś wspólnotę wszystkich, wydzielają się przedmioty jedne za drugimi, aby służyły bezpośrednio pewnym jednostkom. Praca indywidualna doskonali je i kształci na własną korzyść pracujących i daje w ten sposób przykład i podstawę dla coraz to nowszej i lepszej eksploatacji. Z nią bogaci się ogólna kultura. Powstawanie i pomnażanie wyłącznych praw jednostki rozpoczyna się jeszcze w czasach prehistorycznych, gdy nasi praojcowie w skóry odziewać się zaczęli, aby chronić się od zimna, i tem się żywili, co upolowali. Skóra zabitego zwierzęcia i mięso z niego, a potem narzędzie, jakim zaczęto polować, to początki własności. Za nimi grupują się inne sprzęty, zrobione ręką ludzką, jako własność tego, co je zrobił, dalej dom i trzoda, znacznie później grunt, a po upływie wieków i las. Liczba owych praw indywidualnych rośnie i rośnie tak, iż dziś obejmuje już prawa do światła (służebności światła), do powietrza (prawo do słupa powietrza nad własną ziemią, do wody (służebności prawa prywatnego i prawa wodne, polegające na ustawie wodnej), do zwierzyny w lesie (prawo polowania), do zwierząt w wodzie (prawo rybołówstwa), a nawet do myśli oryginalnej, w jakiejś formie objawionej (własność literacka, prawo patentowe, prawo do wzoru i modelu), nawet do klienteli, związanej z firmą i znakiem towarowym i t. p. Im większy postęp, tem więcej dziedzin, nad którymi jednostka zapanowywać może. Zwłaszcza prawo patentowe rozszerzyło ich zakres niezmiernie, i tworząc monopole eksploatacji wynalazku, otworzyło nowe olbrzymie źródła bogactw: Jak dziewicze lasy i łuste ziemie za morzami dla kolonisty, tak wynalazki są dla ich twórców przedmiotem zawłaszczenia, tylko, że pierwsze kończą się znowu morzami, gdy tym-

czasem drugie nie mają granic, bo ich źródłem jest — bezgraniczna praca ludzka i pęd fantazji. W ten sposób spełniła się choć w części maksyma *Lamartine'a*: *Le progrès le plus urgent à faire consiste à rendre l'accessibilité de la propriété plus facile à tous.*

Z faktem powyższym mnożenia praw indywidualnych przez prawo patentowe łączy się inny fakt, t. j. *zwrócenie się licznych rzesz ludzi do szukania owych skarbów patentowych.* Podczas gdy dawniej wynalazek stał jak bóg na piedestale, do którego poważał się przystąpić tylko *genjusz*, lub potrafił nim *przypadek*, to teraz wynalazek spopularyzował się, wmieszał się w tłumy, siłę zaś swoją widzi w pracy zbiorowej mas, a nie w dziełach tylko genialnych jednostek, któremi od czasu do czasu Opatrzność ludzką obdarza. Wynalazek uległ więc *demokratyzacji.*

Przed zaprowadzeniem ustaw patentowych nie myślał przeciętny człowiek o wynalazkach. Ciasne wychowanie robotników w granicach regulaminów cechowych zabijało myśl samodzielniejszą w zarodku. Nauki przyrodnicze były jak każda nauka przywilejem niewielu. Zrobić wynalazek, znaczyło więc rzucić rękawicę światu i dotychczasowym jego tradycjom, i stanąć ponad poziomem swej epoki. Wynalazek mógł zatem zrobić albo *genjusz*, albo nasunąć go *przypadek.*

I w jednym i w drugim wypadku, czekały wynalazcę walki z dotychczasową tradycją, śmiech, szyderstwa a nieraz niebezpieczeństwa. Są to rzeczy tak każde mu jeszcze z lat dziecińczych znane (odkąd zaczął czytać owe rozpowszechniane wszędzie książki o wielkich wynalazcach), że przykładów, stwierdzających powyższe zdanie, nie potrzebują przytaczać.

Co było powodem, że genialni wynalazcy, mimo przeszkód, walkę dla ludzkości i postępu podejmowali? Zapewne nie miłość ludzkości, zwłaszcza, gdy ta ludzkość stawiała areszty cechowe, pręgierze, stopy i t. p., na niszczenie w zarodku wielkich myśli — zapewne i nie wyłącznie nadzieja przyszłej sławy, błogosławieństw potomności, lub nadzieja wielkich dzieł, które na pierwszym dziele się oprą, bo to nadzieja zbyt odległa, a temsamem i pobudka za słaba, aby mogła bóle ciężkich zapasów zrównoważyć. Powodem, dla którego *genjusz* walki owe podejmował i przytem zapominał o najbliższem szczęściu, jest i było zawsze to, że jest *genjuszem*, że pała w nim święty ogień tworzenia, że woła mu w głębi duszy nieustannie głos: *pędź, pędź naprzód!* *Genjusz* więc tworzy, bo tworzenie jest jego powołaniem, zaspokojeniem wewnętrznej potrzeby, i co za tem idzie, prawdziwą rozkoszą.

Zarówno wynalazki genialne, jak i wynalazki przypadkowe, były czemś *niezwyczajnem*, nader rzadkiem, pojawiały się w różnych czasach i w różnych miejscach bez ciągłości, bez ścisłego uzupełnienia. Wprawdzie to, co odkryli jedni, było podniętą dla innych do szukania dalej w raz oznaczonym kierunku, i skutkiem tego wynalazki jedne stawały się z czasem źródłem wynalazków drugich — ale pomiędzy nimi mijaly wielkie nieraz czasu przestrzenie. Wynalazki z czasów przedpatentowych robią — perspektywnie — wrażenie błędnych ogników, pojawiających się tu i owdzie w ciemności.

Ten obraz zmienia się zupełnie z chwilą *wprowadzenia ustaw patentowych.* Ustawy patentowe roz-

twierają — jak wyżej wspomniano — naościę drogę do nowej obiecanej ziemi wynalazków i zapewniają kolonistom tej ziemi ochronę prawną i korzyści wielkie. Prześladowania nowych myśli ustają, a ustawa sama zachęca do robienia wynalazków i wynagradza je monopolami. To też podróż do tej nowej ziemi obiecanej nie jest już przedsięwzięciem wyjątkowym śmiałych i pełnych boskiej fantazji podróżników, lecz staje się objawem codziennym, praktykowanym przez całe szeregi kolonistów, którym gleba ojcowska za ciasną. Podróżują, bo słyszą, że w ziemi obiecanej zdobyć można miliony. Ci z nich, co posiadają zdolności odpowiednie, wytrwałość i spryt, nie zawodzą się w nadziejach. Ci jednak, którzy się przeliczą ze swemi siłami, zasobami i wytrzymałością, wrócą czasem z połowy drogi znękani, czasem w nowej ziemi zmarnieją wśród głodu i chłodu, a czasem, przedarłszy się przez dziewicze lasy trudności, zginą, zostawiając tylko po sobie ślad dla innych.

Wynalazek stał się zatem od czasu zaprowadzenia patentów zdobyczą pracy w całym tego słowa znaczeniu, pracy, która jest zbiorową i ciągłą. Skutkiem tego, postępuje przemysł ruchem spokojnym, stałym, wszechstronnym i niezmiernie szybkim, podczas gdy dawniej postępował skokami gwałtownymi, ale rzadkimi, których rezultat w porównaniu z dzisiejszym był bardzo skromny. Na wynalazek, stanowiący pewną skończoną w sobie całość, np. pras hydrauliczną, maszynę drukarską, młocarnię parową, motor gazowy i t. d., składają się setki pomysłów, z których każdy zostawał przez pewien czas pod ochroną patentu. Każdy z nich miał za przedmiot jakąś nową konstrukcję lub ulepszenie, a suma ich utworzyła maszynę, która zadziwia nas pomysłowością, dokładnością w wykonaniu i t. p., co znowu nie wyklucza możliwości, że tasama maszyna po kilkudziesięciu latach będzie jeszcze nierównie doskonalszą i praktyczniejszą.

Aby przebieg ten wyjaśnić, wskażę na kilka dość znanych przykładów. Zaczynam od najgłośniejszego może wynalazku, t. j. od maszyny parowej. Początki jej sięgają kociołka *Papina* i podobnych odkryć margrabiego *Worcester* i *Salomona de Caus*. Odkrycia te odnoszą się jednak tylko do stwierdzenia przężności pary, były więc nie wynalazkami, ale odkryciami naukowymi, które i dziś nie mogłyby podlegać patentom. Zastosował je *Savery*, Anglik, który skonstruował pierwszy maszynę parową. Para, zgęszczona w rurach, wywoływała ciągły ruch, a przytem były rury oddzielone od kotła parowego. Para poruszała i podnosiła wodę. Wynalazek ten został opatentowany około roku 1700. *Newcomen* wprowadził w rury tłoki i połączył je za pomocą sztaby z przyrządem poruszającym, i wziął również na to ulepszenie patent. Skutkiem tego wniósł *Savery* skargę o unieważnienie patentu *Newcomena*, poczem obaj wynalazcy złączyli się w spółkę, mającą na celu eksploatację tak zwanej ulepszonej atmosferycznej maszyny. Cały szereg ulepszeń tej maszyny, które doprowadziły do jej najrozleglejszego zastosowania w fabrykach, kolejach żelaznych i t. d., wynalazł dopiero *James Watt*, którego prawie całe życie wyczerpane było w kierunku doskonalenia maszyny parowej. Jednakż nie on sam pracował w tym kierunku. Równocześnie z nim przyczyniali się do doskonalenia maszyny parowej *Wasbrough*, który umieścił dźwignię obok osi koła i połączył ją z tło-

kiem, w celu przemienienia ruchu linjowego na kołowy, *Fitzgerald* i *Murray*, z których pierwszy wynalazł koło rozpedowe, drugi wentyl z zasuwką, i t. d.

Szereg wynalazców, którzy wynaleźli statek parowy, rozpoczyna się *Blaskiem de Garay* i dochodzi do punktu kulminacyjnego w *Fultonie*, który pierwszy na wielką skalę skutkiem swych wynalazków mógł rozpocząć przemysłowy wyrób statków. Maszyna parowa przeszła od czasów Wattowskich zmiany olbrzymie, zanim otrzymała dzisiejszy kształt. Od śmierci Watta udzielono na różne jej ulepszenia, jak obliczają niektórzy, około 2,000 patentów.

Podobnych przykładów wynalazków coraz więcej udoskonalonych dostarczają nam wszystkie większe wynalazki nowsze. Zamglone w swych początkach lub połączone z imionami wielkich *Galileuszów*, *Torricellich*, *Newtonów*, *Voltów*, *Galwanich* i t. d., nabierają coraz lepszych i doskonalszych, czasem od początkowych całkiem odmiennych i nowych kształtów, aż wreszcie stają wobec nas, jak skończone arcydzieła, w postaci lamp elektrycznych, telegrafów, telefonów, dynamoelektrycznych motorów, lunet, teleskopów, przyrządów fotograficznych, nowych ciał chemicznych, maszyn do robienia lodu, skomplikowanych mechanizmów z tysiącem dźwigni, bloków, równi pochyłych i t. d.

A jeżeli zajrzemy do biur patentowych, to się dowiemy, że wszystkie te arcydzieła są znowu przedmiotem nowych prac twórczych, nowych ulepszeń i udoskonalień. Tam się dowiemy, że niema prawie dziedziny przemysłu, w którejby fabrykant nie musiał ciągle poprawiać swej fabrykacji i samych przyrządów. Żadna śrubka, żadne kółko maszynowe nie może liczyć na czas dłuższy istnienia. Dziś jeszcze uważane za najlepsze, musi jutro ustąpić miejsca lepszemu od siebie i zadowolnić się schowkiem w magazynie starego żelaza.

Rzadko się też zdarza, aby patent, choćby najlepszy, trwał niczmiennie przez lat 15. Często już w drugim, trzecim roku, lub później, inne go patenty zastępują lub uzupełniają. Większe przedsiębiorstwa fabryczne mają osobne biura techniczne, w których stale pracują nad ulepszeniami produkcji najęci w tym celu technicy. Wynalazki ich uważa się za własność właścicieli przedsiębiorstw i dla nich bywają patentowane.

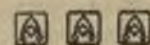
W Ameryce obliczono stosunek używanych w przemyśle i patentowanych maszyn i produktów do kapitału zakładowego, umieszczonego w przemyśle w przedmiotach, które nie zostają wcale pod ochroną patentu i okazało się, że z kapitału zajętego w przemyśle przypada 90% na patenty, a tylko 10% na przedmioty, które nie zostają pod ochroną patentów.

Ciekawy to i charakterystyczny objaw, chociaż wygląda na paradoks, że z powstaniem praw indywidualnych, patentowych, spotężniał skojarzony i zbiorowy duch wynalazczy. Gdy prawa patentowego nie było, jaśniały na kartach historii wynalazków wielkie imiona; dziś jaśnieją wielkie dzieła.

Dawnych wynalazców wynagradzała sława i błogosławieństwa potomności — dzisiejsi wynalazcy przyjmują nagrodę za życia w pieniądzach, ale pamiętać po nich mija, jak sen.

(Dok. n.)

Fryderyk Zoll.



Z Wielkopolski.

Poznań w sierpniu.

Tyle się słyszy o rzekomym separatyzmie Poznańskiego, o nieprzychylnych, niemal wrogich, nastrojach ludności tamtejszej względem mieszkańców innych dzielnic Polski, że mimowoli ogarnia nas lęk, gdy z uczuciem dumy i radości zbliżamy się do stolicy tej bogatej a tak niedawno zjednoczonej z Ojczyzną prowincji. Czyżby faktycznie winy metropolii względem niej popełnione były tak wielkie, że nie da się już zbudować mostu zgody i porozumienia, a różnica dwóch kultur, a raczej zarzucającego nam braku kultury zachodniej, sięgnęła aż tak głęboko, że wyrównać się nie da?

Przybywamy do Poznania w chwili nader ciężkiej; gdy wprowadzony wolny handel zachwiał dotychczasowymi gospodarczymi podstawami, gdy ustawa sejmowa co do unifikacji ma wejść w życie i zakończyć stan zazdrośnie strzeżonych, odrębnych ekonomicznych urzędzeń. A jednak pomimo katastrofalnego wprost momentu, głębsze i uważniejsze rozpatrzenie się w stosunkach miejscowych, w pracach i dążeniach inteligentnego ogółu, sprawia na nas wrażenie pocieszające i do pesymizmu bynajmniej nie usposabia. Cały zaś ferment, bo jego istnienia zaprzeczyć nie możemy, wydaje nam się raczej robotą czynników postronnych z jednej strony, a z drugiej nieuchronną przemianą stosunków socjalnych, która w Poznańskim przyszła później nieco, niż gdzieindziej, wskutek ogólnego dobrobytu materialnego, ale która przyjąć musiała. Pierwsze wstrząśnienie dotychczasowego, pozornie silnie ugruntowanego systemu doprowadziło do wybuchu przez długi czas, nagromadzonego materiału palnego, złożonego z niezadowolonych proletariatu, z zachwiania się bezkrytycznie dotąd uznawanych powag wśród różnego ludu i t. p. Weźmy pod uwagę, że prawie cała ludność męska to b. żołnierze pruscy, że niektórzy z nich odbyli całą sześćioletnią krwawą wojnę, której trwanie i rezultaty nie mogły nie zostawić zaczynu buntu duchowego, gorzkich rozmyślań.

Na tle tego psychicznego podłoża i konieczności wprowadzenia wszędzie już zapoczątkowanych reform socjalnych szczerpiona jest sztucznie, importowana poniekąd nawet płonka separatyzmu dzielnicowego. Niezadowolone ambicje polityczne wyzyskują z jednej strony rozumiały odporność sfer burżuazyjnych i wogóle posiadających przeciw przemianom, godzącym w ich dobrobyt dotychczasowy, niedotknięty kataklizmem wojennym, z drugiej starają się bezprzedmiotowy już dziś front obronno-narodowy uczynić jakimś tusculum czystej polskości dzielnicowej, nie zatrutej obcymi miazmatami. Innymi słowy, uczynić z Poznańskiego odgradzoną od szerszych dopływów sadzawkę, w której da się łowić ryby na użytek prowodyrów stronnictwa jedynie narodowego. Jak zaznaczyliśmy jednak, agitacja w tym kierunku, jako sztuczna i nie wyrastająca z głębin psychiki miejscowej, w której tkwią jeszcze ziarna posiewu z 1898 r., jest krótkotrwała i stracić musi grunt wśród zapowiadających się przemian socjalnych. Może objawy ich będą jaskrawsze, niż w innych dzielnicach, może przyniosą znaczne szkody materialnym stosunkom wewnętrznym, w przyszłości jednak wpłynąć muszą na lepsze, normalniejsze ustosunkowanie się warstw społecznych, na wzrost poczucia

obywatelskiego w masach. Nie zapominajmy bowiem, że wobec nadmiaru postów ludowych z b. Królestwa i Galicji, Poznańskie nie dało ani jednego posta włościańskiego i o jakiegokolwiek samodzielności ideowej tej warstwy nie może być tam jeszcze mowy.

Tymczasem wobec zakrytej i niepewnej przyszłości przyjrzyjmy się, w jaki sposób żyją i pracują w Poznaniu sfery inteligentne, aby nie tylko utrzymać swój „prestige“ wobec nowych, zbliżających się prądów, ale przedewszystkiem aby podtrzymać i rozwinąć kulturę, przetapiając ją na swojską modłę. Niemcy pozostawili w tym kierunku Polakowi w Poznańskim trudniejsze zadania niż nam się tu w b. Królestwie zdawać może. Właśnie dlatego, że w zakresie kultury materialnej zrobili tak wiele, zostawili po sobie zbyt wybitne ślady. Wszystko tu jest wykończone w najdrobniejszych szczegółach, co tylko do zdobyczy cywilizacyjnych należeć może. A więc gmachy szkolne i akademickie, szpitale i sanatoria, muzea, biblioteki, środki wojskowo-obronne i t. d. Stworzył to duch niemiecki, dla swojej potęgi i chwały, nie dopuszczając jednak podbitego żywiołu polskiego do jakiegokolwiek inicjatywy, usuwając go nawet od jakiegóż wybitniejszej roli wykonawczej. Po usunięciu się Niemców pozostały wspaniałe gmachy, no, i bezradność, czem i w jaki sposób je zapełnić, co w nich stworzyć. Niema wątpliwości, że ta bezradność w pewnych dziedzinach, administracyjnej szczególnie, istnieje i to w znacznym stopniu, czego dowodem jest wiele zarządzeń poprzedniej Rady ludowej, lub brak zarządzeń obecnego rządu dzielnicowego, ale w dziedzinie kulturalnej zrobiono zadziwiająco wiele. Tradycja Libeltów, Moraczewskich, Marcinkowskich, Estkowskich była zbyt silną i zbyt troskliwie pielęgnowaną, ażeby odżyć nie mogła. Wszakże nawet tak potężne gmachy, jak zamek Wilhelma, nie zdołały monumentalnością swoją zagłuszyć skromnych budowli Tow. Przyjaciół Nauk, Muzeum Mielżyńskich, biblioteki Racyńskich, a brutalny ucisk zdobywcy zdusić ducha, który w nich utrzymywano. Dlatego też niemal z łatwością przyszło zamienić Akademię, w której mieścił się kresowy filologiczny instytut niemiecki, na uniwersytet. I o dziwo, wobec bibliotek, w których nagromadzono wszystkie płody umysłu niemieckiego, z pominięciem zupełnym niemal kultury romańskiej i słowiańskiej, młody zespół profesorski uniwersytetu poznańskiego podjął przedewszystkiem wydawnictwo: „Slavia occidentale“, założone przy Instytucie dla badania zachodniej słowiańszczyzny, w którym szuka on innych źródeł kultury, niż te, które dotąd narzucano. A młodzi uczeni, jak Bystroń np. piszą i wydają studia o duchu poezji ludowej.

Czy młodzież uniwersytecka, zgromadzona tu ze wszystkich dzielnic Polski, stąd torująca drogę do przyszłego zgodnego współżycia, bawi się w jakiegokolwiek ciasne nacjonalizmy lub zdradza w najmniejszej mierze dążności separatystyczne? Musimy temu zaprzeczyć z całą stanowczością. Przedewszystkiem rozwija się ona swobodnie dzięki stworzonemu jej przez szlachetnego obywatela poznańskiego niesłychanie pomyślnych warunków materialnych. Ofiarowany prezeń dom na Auxilium academicum mieści w sobie to wszystko, co do ułatwienia swobody studjowania służyć może. A więc, wobec nie żartem panoszącej się drożyzny, będącej rezultatem źle strzeżonej granicy zachodniej i stąd masowego wywozu produktów do Niemiec, tanie i zdrowe pożywienie

(obiady od 30—40 mk.). Potem obszerna czytelnia, biblioteka, sala do przedstawień, koncertów i odczytów i t. p. Musiał mieścić się w niej jakiś Verein niemiecki, o czym świadczą jeszcze malowidła ściennie, duch jednak panuje swojski, ścierają się zdania i poglądy wśród młodzieży, są tam bowiem i ludowcy i socjaliści i społecznicy-idealiści. Ci ostatni to dalsze ogniwo tego długiego łańcucha ukrytych prac i poświęceń, jaki ciągnął się wśród kół im. Tomasza Zana, utrzymywanych przez młodzież szkół średnich na całym obszarze zaboru pruskiego, a także i przez młodzież akademicką polską studującą na uniwersytetach niemieckich. Koła te zbiegały się w jednym ogólnym kole narodowym, którego organem było pismo „Brzask“, nie mające jednak nic wspólnego z tym szczególnie współczesnym polskim nacjonalizmem, który rozbija zamiast łączyć, osłabia zamiast wzmacniać siły wewnętrzne narodu.

I jeszcze obok „Dziennika Poznańskiego“, będącego wyrazem zachowawczych dążeń sfery ziemiańskiej przeważnie, z pewnym jednak odcieniem liberalizmu angielskiego i pobłażliwego uznania dla konieczności socjalnych przemian, stoi ze swoim organem „Przeгляд poranny“ Tow. Młoda Polska. Trochę ona jeszcze nie skonsolidowana, trochę choruje na brak dopływu sił tego pokolenia, co się już wychowa w normalniejszych warunkach, naśladowując nieco, w obyczajach przynajmniej, cyganerję literacką z początków 19-go wieku, niemniej jednak pełna werwy i dobrych, szlachetnych dążeń.

A teraz jeszcze przewartościowanie tak bardzo przemożnego wpływu, jakim się cieszyło duchowieństwo wielkopolskie.

Słyszeliśmy trafną charakterystykę zmiany w tym kierunku z ust z jednego z najświetlejszych przedstawicieli kleru, z jakim udało nam się zapoznać dzięki jego funkcji przy bibliotece uniwersyteckiej. Otóż rozmówca nasz twierdzi, że ów autorytet, za decydujący uważany, musi ustać, a nawet już silnie jest zachwiany przy zmianie warunków politycznych. Obrona katolicyzmu, niemal równoznaczna z obroną polskości, musi przyjąć inną formę, wejść w dziedzinę pogłębiania wpływów psychicznych, wprowadzenia chrystjanizmu w życie. Genjalne zdolności ekonomiczne, jak u ks. Wawrzyniaka np., skierowały, swoim przykładem, większość księży poznańskich do działalności ekonomicznej, a pewna zachłanność w tym kierunku odbierała ludowi samodzielność, zamiast ją rozwijać, co oddziaływało deprymująco na ogólny postęp społeczny, wśród sfer włościańskich szczególnie. Dziś ta samodzielność zaczyna się z powojaków wydzierać i jak każdy ruch nowy, jest brutalna w swoich zapoczątkowaniach. Wykształcone, przeważnie jednak na obcych wzorach, duchowieństwo poznańskie, czując utratę wpływów, wchodzi, w działalności swojej, na inne tory. Usiłuje wypełniać braki nauki pozaszkolnej, zakłada więc stowarzyszenia młodzieży, gdzie poza stroną etyczną nie mała rolę gra sport, chóry i przedstawienia teatralne, oddziaływując przeważnie na młodzież kupiecką i rzemieślniczą. Biuro handlowe Zjednoczenia Stowarzyszeń młodzieży, na czele którego stoi ks. Walery Adamski (brat znanego ekonomisty), miało obrotu około 15 milionów marek w dostarczaniu przyborów sportowych, rekwizytów teatralnych i t. p., nie licząc książek i wydawnictw, będących dla swego poziomu jego słabą stroną. Tu wspomnieć jeszcze musimy o roli mieszczaństwa poznańskiego, najwięcej w Pol-

sce wyrobionego pod względem handlowym i zawodowym. Siłami jego stworzone w b. krótkim czasie Muzeum Wielkopolskie świadczy o żywo rozbudzonej poczuciu obywatelskim. Zdarzyło nam się być na liczniejszym zebraniu w rodzinie jednego z przedstawicieli zamożnej inteligencji zawodowej. Rozbrzmiewał tam jeden chór narzekań na rząd centralny i jego rozporządzenia, a szczególnie na zamierzone przyciśnięcie śruby podatkowej, bez względu na olbrzymie opodatkowanie ludności w Niemczech, z jakim nasze, stawiające dopiero pierwsze kroki, nie może iść w porównanie. Doznawało się bolesnego ściśnięcia serca. Ale i tu owe materjalistyczne pozory okazały się tylko zewnętrzną, jakby sztucznie przyklejoną skorupą. Okazało się bowiem, że rodzina ta oszczędnością całego swego życia zebrała wspaniałe kompleksy okazów etnograficznych wielkopolskich i ofiarowała go nowo powstałemu muzeum, że syn gospodarujący na wsi samorzutnie już od lat dał służbie folwarcznej znakomite warunki bytu i pyszni się mieszkaniami parobczańskimi pełnymi komfortu i higienicznych urządzeń.

I dumny byłby, gdyby o tem wiadano w stolicy kraju, w Warszawie.

A co do owego Muzeum. Na honorowym miejscu stoi tam, zakupiony, Pochód na Wawel Wacława Szymanowskiego, ta synteza naszych dziejów, a dalej, typowy okaz sentymentu polskiego, odlew projektu na pomnik Szopena, tegoż artysty.

Charakterystycznym jest to pragnienie skapania się w źródle odwiecznego idealizmu, cechującego psychikę narodową, tak długo zachłannym duchem germańskim tłumionego i unicestwianego. Czyż więc trudno nam będzie się porozumieć i odrzucić to, co to porozumienie mąci i oddala?

I. W. Kosmowska.

Polski przekład „Myśli“ Pascala.¹⁾

Za dwa lata Francja będzie święcić uroczystie trzechsetną rocznicę urodzin Błażeja Pascala. Są jubileusze oficjalne, puste i nudne, są inne — serdeczne, głęboko odczute przez ogół społeczeństwa. Tegoroczne festyny na cześć Lafontaine'a minęły w ciepłej atmosferze, bo każdy Francuz znał wartość pisarza, którego pokochał już na ławach szkolnych i uznał za pierwszego przewodnika w trudnej dyscyplinie czytania.

Z uroczystością Pascala nie pójdzie tak gładko. Nazwisko jego wszyscy wymawiają z nabożeństwem i przejęciem, wiedzą o potędze jego myśli i wspaniałości stylu, ale czyż wielu jest takich, którzy zaglądną do „Myśli“ i czerpią z nich podniecie duchową? Aktualność Pascala wzrosła niepomiernie pod koniec XIX wieku i wzrasta dalej nieprzerwanie, ale aktualność ta wyrosła z potrzeb intelektualnych niezbyt licznych zastępów elity. Coprawda, ci wybrani — w entuzjazmie dla ukochanego autora — nie szczędzą usiłowań wytrwałych, aby zbli-

¹⁾ Pascal, „Myśli“, przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Zeleński (Boy), Poznań 1921 r. (Nakład księgarni św. Wojciecha).

żyć go do społeczeństwa i uczynić z „Myśli” książkę rzeczywiście popularną. Może uda im się uroczystości roku 1923 zamienić w święto narodowe.

Skąd pochodzi ta aktualność Pascala, a raczej aktualność „Myśli”, bo do „Prowincjałek” mało kto zrzadka zagląda?

Łączy się ona z reakcją pewnych dość wpływowych kół umysłowej Francji przeciwko jednostronnemu racjonalizmowi, idolatrji nauk ścisłych jako uniwersalnego środka na wszystkie potrzeby człowieka, przeciwko pozytywizmowi w filozofji a naturalizmowi w literaturze. Wpływy Renana i Taine’a — tych dwóch mistrzów generacji francuskiej około roku 1870 — zaczęły zwolna maleć. Częściowo pod wpływem klęski wojennej, głównie jednak z podszeptu wybijających się na wierzch ogólnie — nawet u Renana, Taine’a i niektórych naśladowców Zoli — żywiołowych potrzeb psychicznych, zaczęto analizować rezultaty spekulacji filozoficznych, opartych na wiedzy eksperymentalnej i zauważono, że nie zadowolniły one wszystkich naszych pożądań i tęsknot, owszem, że nie uspokoiły właśnie najistotniejszych pragnień ducha ludzkiego.

I tak zakradł się sceptycyzm i pesymizm. Okazała się konieczność wynalezienia wyjścia z tej matni życiowej za pomocą wskazań innych od tych, które pozytywizm podsuwał, sprawiając rozczarowanie i zawody.

Przedewszystkiem przysła idylla: skojarzenie religji, filozofji i nauki w jednej formule, równającej się zresztą poddaniu tych dwóch pierwszych dziedzin pod tyranję wiedzy doświadczałnej, albo — jak kto woli — absorpcji całkowitej religijno-filozoficznych zagadnień przez zachłanną naukę. Gdy przeszło pierwsze upojenie wynalazkami technicznymi, gdy udoskonalenie maszyn, produkcja fabryczna, rozrost komfortu życiowego okazały się bezsilne wobec nienasyconego głodu szczęścia i ciągle raczej wzmagającego się niezadowolenia zarówno mas odsuniętych od pracy twórczej, jak i wybranych jednostek, wtajemniczonych w arkana laboratorjów, — wówczas rozpoczął się nawrót do tego, co było przed pozytywizmem: do metafizyki, mistyki, spirytyzmu czy też religji. Naiwna fanfaronada Zoli, autora „Trzech miast” i niewykończonych „Czterech Ewangelij” przebrzmiała bez echa. W ewolucji myśli francuskiej spotykamy coraz bujniej krzewiące się buntownicze prądy, różnie — stosownie do swej treści — nazywane: krytyka nauki, anty-intellektualizm, neo-idealizm, neo-katolicyzm. Mniejsza zresztą o nazwy. Dość, że zrozumiano stwierdzenie Pascala: „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna”.

Któż mógł uchodzić za apostoła nowych kierunków Francji? Renan pociągał zawsze, ale coraz mniej przekonywał: zniechęcono się do jego eklektyzmu filozoficznego, do wiecznie uśmiechniętej twarzy ironisty, do braku stałych, niewzruszalnych przekonań, do „dyletantyzmu” autora „Życia Jezusa”. Taine — przynajmniej Taine dawniejszy, przed napisaniem „Origines de la France contemporaine” — tkwił przecież całkowicie w dawnej odrzuconej doktrynie. Pozostawała dawniejsza literatura. Atoli romantyzm właśnie teraz stał się celem ostrych ataków jako wykwit importowanej z zagranicy i chorobliwej myśli; klasycyzm XVII wieku raził nadmiarem kartezjańskiego racjonalizmu, a piśmiennictwo

XVIII wieku irytowało tanim optymizmem i ślepa wiarą w nieustający postęp umysłu ludzkiego.

Zniechęciwszy się do wielu dawnych mistrzów, odkryto Pascala. Dopiero wiek XIX wydobył na jaw nieskazony rękopis „Myśli” i okazał ich treść wolną od niektórych zadaleko posuniętych skrótów i przeinaczeń jansenistycznych cenzorów. Zainteresowanie wzrastało. I oto pasowano Pascala na poprzednika nowoczesnych tendencji. Pascal stał się modnym.

Pascala czytano, a przynajmniej — dla okraszenia i snobizmu — pstrzono cytatami z „Myśli” strony uczonych dysertacji i rozgłośnych romansów.

Trudną jest kwestją rozstrzygnięcie, o ile istotnie Pascal czynnie i twórczo wpłynął na kierunek współczesnych prądów umysłowych Francji, w jakiej zaś mierze stanowisko jego zbiegło się przypadkowo z samodzielnie i spontanicznie wykwitłą ideologją ostatnich generacji. Niezaprzeczalną jest wszakże identyczność lub analogia wielu fragmentów pascalowych z wytycznymi nowej filozofji.

Albowiem trudno tłumaczyć inaczej, jak pokrewieństwem przekonań, zamiłowanie, jakie okazał dla Pascala Boutroux, świetny autor monografji o naszym pisarzu. Metoda apologetyczna zawarta w „Myślach” — przrzucenie siły ciężkości z racjonalistycznych argumentów do wysiłków, skierowanych do uczuć i woli „nawracanego” — jest metodą nowej „apologetyki immanentnej”, zarówno ortodoksyjnie-katolickiej, jak i modernistycznej. W filozofji Maine de Birana i Lacheliera odkryto te same podstawy, jakie przyświecają teorii „trzech porządków” Pascala, teorii regulującej dziedzinę autonomiczne nauki ścisłej, filozofji i religji, każącej badać problemy z trzech odmiennych punktów obserwacji, właściwych uczonemu, filozofowi i chrześcijaninowi.

Wyliczano zresztą — (zwłaszcza czynił to Wiktor Giraud) — inne jeszcze podobieństwa między myślą Pascala a filozofją XIX w., więc np. proceder logiczny, oparty na przeciwstawianiu sobie dwóch tez sprzecznych i łączeniu ich w wyższą syntezę, jakgdyby w przeczuciu dialektyki Hegla; pewne napomknięcia, pokrywające się poczęści z ewolucyjną teorią Darwina i Spencera; zdania przypominające wręcz przyjęcie znanej „faculté maîtresse” przez Taine’a; wreszcie określenie różnic pomiędzy „zmysłem geometrycznym” a „zmysłem życiowym” (— tak tłumaczy Żeleński „esprit géométrique” i „esprit de finesse” —), różnic tylokrotnie wysuwanych w dobie współczesnej.

Jakkolwiek się rzecz ma — nawet przyjąwszy pewną przesadę entuzjazmu u wielbicieli Pascala — należy stwierdzić spokojnie, że „Myśli” czyta się dzisiaj z chciwością, bez długich uprzednich studjów nad duchem epoki, bez konieczności pobłażliwych koncesyj na rzecz przestarzałych sposobów rozumowania. Zadziwiają „Myśli” świeżością pomysłów i niestarzejącą się mocą wywieranej sugestji.

Przyczynia się do tego fakt, że mamy przed sobą notatki na gorąco, pod wrażeniem chwili, spisane, jeszcze nie wygładzone ostatecznie, bezprezjonalne — jednym słowem, protokuł koncepcyj, jakie nasuwały się Pascalowi w uporczywych rozmyślaniach nad zagadką życia. Są one świadectwem własnych przeżyć autora, który przeszedł identycznie tę samą ewolucję duchową, jaką przeżyło wielu z pisarzy francuskich epoki popozytywistycznej.

Było to zmaganie się z sobą człowieka, który nie stracił wprawdzie respektu dla nauki, ale przestał ją uważać za jedyny upust duchowych porywów i potrzeb, a zawiedziony życiem światowym i przesycony grą zmysłów, szukał wybawienia z udręki pyrronizmu i pesymizmu. „Nawrócenie“ Pascala nie jest z pewnością dziełem jednego momentu, ale wynikiem powolnej przemiany psychicznej. Tak „nawróciło się“ kilku nowoczesnych czcicieli jednostronnego intelektualizmu. Nic dziwnego więc, że zajął się Pascalem i zgłębił jego filozofję Sully-Prudhomme, chociaż nie danem mu było dojść do ostatecznych konsekwencji, t. j. wyciągnąć radosny wniosek pewności i wiary. Bourget — mimo całej swej pretensjonalnej i powierzchownej deklamacji — odczuł głębię „Myśli“, do których ustawicznie wraca i które wytrwale zaleca. Brunetiére, temperamentem tak różny od Pascala, napisał o nim serdeczne słowa. Należałoby jednak zacytować cały szereg nazwisk najwybitniejszych krytyków, filozofów, poetów, teologów francuskich, aby chociaż w przybliżeniu scharakteryzować aktualność dzieła, które dzisiaj czyta polska publiczność w przekładzie Żeleńskiego.

Przekład to — powiedzmy odrazu — dokonany z nadzwyczajnym pietyzmem, doskonały. Moznaby się spierać o to czy o tamto tłumaczenie trudnej terminologii Pascala, tem trudniejszej, że wielokrotnie jeden i ten sam wyraz oznacza różnorakie pojęcia. Zwróćmy też uwagę na chaotyczność polskiej terminologii filozoficznej.

Są to przecież drobiazgi. W całości mamy przekład oddający z tkliwą wprost pieczołowitością przedziwny, mistrzowski, niezrównany styl Pascala. Jest w tym stylu i ścisłość naukowa i wręcz liryczny polot, jest genialne operowanie przenośniami i konkretyzacja najzawilszych abstrakcyjnych zagadnień. Obok pokory grzesznika korzącego się u stóp nanowo odkrytego Boga, zjawia się ogień namiętnego oburzenia na zło, fałsz, obłudę i głupotę ludzi. Głębokie odczucie nędzy i znikomości człowieka łączy się z szlachetną dumą wobec zdobyczy rozumu naszego. Szczere złoto doskonałej prozy francuskiej, bez pozy i napuszystości, stawiając Pascala u szczytu mistrzostwa.

Trudności dostosowania przekładu do takiego przepychu piękna musiały być olbrzymie. Tylko taki technik, jak Żeleński i tylko taki, jak on tłumacz uczciwy i świadomy odpowiedzialności, mógł pokusić się o rozwiązanie zadania.

Nie sięgnął Żeleński do krytycznego wydania Michaut'a, ale — słusznie — wybrał opracowanie Brunschvicga, które rezygnuje z przedruku rękopisu w oryginalnym tekście na rzecz uporządkowanego zszeregowania fragmentów w pewne logiczne kategorie. Przez to ułatwia się czytelnikom zrozumienie niewykończonych „Apologii“. Ułatwiają je także wstęp i uwagi tłumacza. Uwagi są może zbyt skąpe, a przedmowa zbyt zwięzła. Jestto jednak metodą stałą Boya, że nie lubi obarczać tekstu piórkami erudycji i żąda od czytelnika samodzielnej pracy myślowej przy lekturze arcydzieł francuskich.

Zbytecznym byłoby rozwódzić się długo nad kulturalną zasługą spolszczenia „Myśli“ Pascala. Żeleński zepsuł nas poniekąd swą bajeczną pilnością, swą mrówczą, czarną pracą nad związaniem Polski z literaturą francuską. Czynił to zresztą przed wojną, kiedy jeszcze nie mówiono tyle o potrzebie

poznania cywilizacji zachodniej, czyni to konsekwentnie dzisiaj, kiedy tak wiele się o tem mówi, niestety często dla mody, dla reklamy, bez znajomości rzeczy.

I doprawdy pojęć niepodobna, dlaczego ten świetny znawca piśmiennictwa francuskiego nie zasiada jeszcze na katedrze uniwersyteckiej, skądby mógł ogniem swego entuzjazmu i estetycznym przeniknięciem literackich problemów zachęcać młodzież do zżycia się z umysłowym dorobkiem Francji. Czyż mamy tylu znawców tego przedmiotu? Czyż nie słyhać ciągle narzekani na jednostronne karmienie uniwersyteckich słuchaczy gramatyką i filologią starofrancuską?

Zdumiewać się trzeba nad marnowaniem skąpych naszych sił intelektualnych. Żeleński mógłby być jednym z ważnych naszych atutów do wygrania sympatyj francuskich. A tymczasem co się robi? Nie wiem, czy prawdziwą jest opowieść o ambasadzie polskiej w Paryżu, nieznającej nazwiska i zasług Boya; czytałem natomiast — w oficjalnym dwutygodniku teje ambasady („La Pologne“, zeszyt z 15 lipca 1921) — informację o nim pełną bredni, świadcząca o małym zainteresowaniu się redakcji najchlubniejszemi szczegółami polsko-francuskiej przyjaźni.

St. Wędkiewicz.

Z piśmiennictwa.

Zygmunt Krasiniński: Nieboska Komedja, opracował Juljusz Kleiner. Biblioteka Narodowa. Serja I № 24 Krakowska Spółka Wydawnicza.

Zygmunt Krasiniński: Przedświt, opracował Juljusz Kleiner. Biblioteka Narodowa. Serja I № 18 Krakowska Spółka Wydawnicza.

Arcydziała naszej poezji z rąk prof. Kleinera wychodzą w ramach komentatorskich mocnych a przejrzystych, w momentach i przejściach ciemniejszych podbierane doskonałemi objaśnieniami, lub rozświetlone blaskiem bystrych domysłów i zestawień. Olbrzymia skala porównawcza, przez niewiarogodną wprost znajomość całej przestrzeni literatur europejskich, łączy się z drobiazgową, mrówczą uwagą i religijnem poszanowaniem dla tekstu.

Niedawno w teje samej Bibliotece Narodowej dał nam prof. Kleiner „Beniowskiego“, dobudowanego możliwie z rozkruszeń i fragmentów, a przynajmniej postawionego tak, że kształt niedorzeźbiony pozwala się przeczuć. Ta rekonstrukcyjna robota prof. Kleinera, jeżeli nigdy zaręczyć nie można, że jest absolutnie pewna, jest jednak w najwyższym stopniu przekonująca.

W stosunku do Nieboskiej i Przedświtu rola wydawcy jest znacznie węższa i skromniejsza, zato wagę obu tomików stanowi dodana do każdego znakomita przedmowa. Tu i tam stron niewiele, a jest epoka cała i cały człowiek. W Nieboskiej epoka owa rysuje się nam od strony swego rusztowania społecznego, a ściślej, od stawianych, głównie we Francji, utopijnych budowli socjalistycznych, na które Krasiniński spoglądał okiem wylektem, wciągany wszelako jakąś magiczną siłą w krąg myśli, co znaczyły wtedy przejście przeszłości w przyszłość, a jemu usuwały grunt, na którym wyrósł z karmazynowych pokoleń swoich. Jednym z mostów najbliższych ku tym

gadnieniom było dla niego powstanie polskie, na które on, syn smutnej pamięci generała Wincentego, patrzył przedewszystkiem jako na walkę klas, i stąd Polska sama sunęła mu się przed oczy jako arena walnych zapasów o jutro społeczne świata. Geneza poematu, wpływ dwu motywów: wewnętrznego niezestroju poezji z nakazami i prawdą życia, co było tragedją duszy samego poety, i pęknięcia rzeczywistości zewnętrznej pod parciem nowych haseł—składa się w słowach prof. Kleinera na świetny psychologicznie i historycznie obraz.

W przedmowie do Przedświtu przerzucamy się w inne okolice epoki romantycznej, gdzie w Niemczech przedewszystkiem myśl filozoficzna, snując się wzdłuż traktu dziejowego, dochodziła właśnie u dni naszych ku panoramom przyszłych rajów ziemi. Tam szło się przez czyny, tutaj przez abstrakcje. Krasinowski wobec pierwszego odłamu, aktywnego, był bezruchy, okazało się, że głosi zagładę i nicość, czyn mu nie dopisał (widzieliśmy, że roztrażała go od wnętrza poezja, od zewnątrz lęk). Tu, wobec logicznych piramid myśli stał się apostołem czynu, wysnutego, nie z konieczności życia, ale z konieczności abstrakcyjnych przesłanek. Wziął w siebie oba te światy, pierwszy był jego negacją, jego pesymizmem, drugi stał się optymizmem jego, jego pozycją. W Nieboskiej zawalenie się przeszłości kończą się dziejowem pustkowiem, „optymistyczne zakończenie stanowi — pisze prof. Kleiner, — a my to wszyscy czujemy — dodatek nieorganiczny“ — w Przedświcie przyszłość już jest gotowa z góry i czekająca, co więcej jeszcze: jest dla nas, ludzi, poznawalna, i te pewność budzi w duszy poety niezamącone weselu. W Nieboskiej przeszłość jest przeklęta w Henryka. Przedświt gloryfikuje ją w wizji przodków. Polska w Nieboskiej skrwawiona w walkach Mężów i Pankracych, w Przedświcie zaczyna się wznosić, święta, „nabijaną światłem drogą“. — Poeta wśród mórz myśli swojej, stanął na kotwicy niezachwianych prawd.

Obiedwie przedmowy, bogate treścią, dają czytelnikowi i wiadomości dużo i materiał do samodzielnych rozważań.

J. D.

Czasopisma.

Ruch Prawniczy i Ekonomiczny. Wyszedł z druku trzeci zeszyt czasopisma „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny (za kwartał trzeci 1921 r.). Wydawany przez

Wydział Prawno-Ekonomiczny Uniwersytetu Poznańskiego. Na treść zeszytu trzeciego składają się: 1. Rozprawy: prof. dr. Starzyński — Kilka uwag o Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Jan Namitkiewicz — Obecny stan prawodawstwa handlowego w b. Królestwie Kongresowem. Prof. dr. Marcin Nadobnik — Obszar i ludność b. dzielnic pruskiej. 2. Przegląd piśmiennictwa (33 recenzje oraz bibliografja prawno-ekonomiczna z bieżącej literatury polskiej i obcej). 3. Przegląd prawodawstwa: prawo konstytucyjne, prawo i proces karny. 4. Przegląd Orzecnictwa: Orzecnictwo cywilne i karne Sądu Najwyższego. 5. Kronika ekonomiczna: rolnictwo, przemysł i handel, stosunki robotnicze, stosunki pieniężne i kredytowe, współdzielczość, gospodarka komunalna. 6. Miscellanea. 7. Przegląd czasopism.

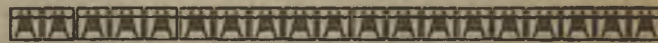
Prenumeratę przyjmuje księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu, pl. Wolności 1, w wysokości 1500 mk. za rok. Zeszyt pojedynczy 750 mk.

Stowarzyszenie Wolnomyslicieli Polskich.

STOWARZYSZENIE WOLNOMYŚLICIELI POLSKICH prosi nas o zaznaczenie, iż statut Stowarzyszenia został zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

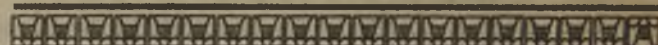
Założycielami zrzeszenia są: Jan Baudoin de Courtenay, Stefanja Cierpiszówna, Kazimierz Duleba, Marjan Tadeusz Lubecki, Romuald Minkiewicz, Zofja Wojnarowska, Emil Wojnarowski.

Informacji udziela się w lokalu przy ul. Królewskiej Nr. 16, w Warszawie codziennie, godz. 6—7.



Od Wydawnictwa.

Uprzejmie prosimy Sz. prenumeratorów o uregulowanie zaległej i bieżącej prenumeraty. Przedpłata za kwartał IV wynosi 600 marek; miesięcznie 200 mk.



TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi od 1-go października **miesięcznie 200 mk. kwartalnie 600, zagranicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **50 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy 80 mk. — Wiersz oblicza się na nonparel. Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: SPÓŁKA WYDAWNICZA „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZO-DRUKARSKA „PRACA”, KREDYTOWA 2/4. TELEFON 60-70.

<http://rcin.org.pl>